



Leg. archiwalny IBL

KSIĘGA PIEŚNI.



WARSZAWA.
NAKLADEM JÓZEFA KAUFMANA.

—
1871.

Zeszyt



Fundacji im. J. J. Michalskiej
ze zbiorów



W Szwajcarji.

1922 / 1870

KSIĘGA PIEŚNI.

ZBIÓR POEZyli.

Serya I.

Zeszyt I.—,z Ilustracją.”

(REDAGOWAŁ MIRON).

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Nakładem Józefa Kaufmana.

1870.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Мая 1870 года.



Druk J. Jaworskiego. Krak.-Przedm. Nr. 415.

* * *

Na czele niniejszej publikacji podajemy jeden z najcenniejszych poematów naszej literatury: „W Szwajcaryi.”

Są to dzieje serca i wyobraźni poety, który umiał tylko kochać i tylko nienawidzić.....

Idea poematu jest miłość, urodzona z uśmiechu, żyjąca całą pełnią sił idealnych i zmarła z nieubłaganej logiki praw ziemskiego życia.

Forma w którą Juljusz wcielił swoją idylę, odpowiada wszystkim czasom jej treści. Jest to prawdziwy skarbiec natchnionych wyśłowień i rymów.

Każdy wiersz promienieje blaskiem, dzwoni melodyą.....

Od czasu Petrarcki, z pewnością żaden z poetów, nie wyśpiewał hymnu miłości, na nutę równie wzniosłą, dźwięczną i wspaniałą w prostocie swojej.

Szczęśliwa bohaterka poematu już nie żyje.

Ważne jest, aby publikacja była
jedną z najważniejszych publikacji
literary. W tym celu
na to dacie sera i wyobraźni poety, kto
ry musi tylko kołać tylko nieważne
Idea poematu jest nielub, trzeba zaima
chu. Zgaga cała pełnia sil idealnych i stara
z nieubłążonej bogie praw ziemskiej, zycia
Istota w kłosa. Iż puz wozu dyle
odpowiednie wyrażenie czasu, jej czasu, jest
to prawda, i skądś natchnionych wyso-
wion i znowu.
Istota wozu promiennej klasztor, dawa-
in melo...
Od czasu Petrus i pewnego sadu
z poetów, nie wstawał nigdy miłość na
niez równie wyjątki, dany czas i wspania
w prostym wozu.
Zupełnie pełnia poematu jest nie i to.

W SZWAJCARYI.

PRZEZ

Juljusza Słowackiego.

I.



Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do téj zbawionój i do téj kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.

Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jój nie zburzy i nic jój nie zmięsza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skrajne doliny
Szcypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb' co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie. —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany, —
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy! —
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza...
I tak się zaczął prędko romans kłecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie i zniknie!

I byłem jak ci co się we śnie boją,
 Bo jużem kochał, bo już była moja! —
 I tak raz pierwszy spotkałem ją samą
 Pod jasnój tęczy różnofarbnój bramą;
 Powiew miłości owiał mnie uroczy —
 Stałem przed nią i spuściłem oczy...

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
 I szliśmy razem u stóp téj lawiny,
 Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
 Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
 Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
 A Rodan z paszczy błękitnój ucieka.
 Pamiętam chwilę: — poranek był skwarny,
 Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
 Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
 Stały blisko, złote, nieruchome —
 I utopiły oczów błyskawice
 W kochanki mojej błękitne źrenice;
 I długo patrząc, nieruchome, obie,
 Głowy promienne pokładły na sobie!
 Rzekłem: — one się zakochały w tobie!

Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jój przyleciał do mnie. —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrużę,
Całą jój białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,

Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła, lecąc — Łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimżeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny! —
Wyspowiadałem się potem z téj winy —
Słuchajcie! — oto przed Tella kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos: że mię kocha —
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę swą pierśią odtrąciwszy białą —
A ja — ach! nie wiem co się ze mną stało!

Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono—
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pię łzy i białe w nich obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecić po niebie. —
W tém zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy —

Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy;
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżyła, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszła niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mnie niezmierna...
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole méj jasnej królowej

Perłami okrył wszystkie polne róże, —
I ze sklepienia łązy leciały duże;
A we łązach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słyszając, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Marija!...
Jak biała róża kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta co imię ukochane krésli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli.—
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
„Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy.—
Lecz prawda, rzekła: jeżeli się mężczy

Ta jasność słońca stworzona promieniem,
 Którą lód w sobie mrozi i zabija:
 Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
 Ave Marija!...”

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
 Pójdziemy razem na sosnowe bory,
 Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
 Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
 Jungfrau, i słońce złote ma przed sobą;
 Gdzie we mgle jelen przelatuje skory;
 Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
 Rzucają cienie na lecące chmury!—
 O, moja luba! tam pójdę za tobą,
 A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
 Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
 I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
 Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
 I ulecieli z plejadów gromadą,
 I tylko po nas potok spadnie głuchy,
 I błyszcząca się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawszy na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisien naokoło rośło,
Ile słowików na wiśniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie. —
Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże i nas i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni,
I chciała nas już miłość ująć zdradą. —
Było to rankiem — pomnę: — pod kaskadą —
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jój umalował,
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało;
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach...
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami. —
Odtąd jużesmy nie czytali sami...

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bledsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję;
Jak ta co boi się, albo się broni;
Lub jako gołąb' co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem;
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: — Luba! jak Bóg jest na niebie,

Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tym źródle co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdiesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżać zacząłem i zadrzałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki,
I takeś pędkiem uciekała zlekka,
Żeś łonem, kwiatu potrafiła pręty,
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna...

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
 I widać było, że nie wiedząc, płonie;
 Głębszemi oczu stały się szafiry,
 I prędsza fala białości na łonie,
 I dziwnym ogniem rozpalone skronie
 Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom —
 Ona z tych była, co się skarżą matkom,
 I skarżyła się gwiazd cichój gromadzie,
 Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
 Gdy kwiaty szepeczą miłośnie do ucha,
 Co zamysłone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą
 Aniołom boskim mówisz rozżalona?
 Jak ci, co mówią, skarżąc się — i płaczą,
 Że była burza gromami czerwona,

Że była grota posepna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary,
I skarga smutna czystych nimf, podziemna?
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —
I ptasząt nas tak obudziły gwary —
Mówisz ty o tém? jak ta co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach! gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem —
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i leciść,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama
Na wypłakaną rozwieszona chmurze.
Wyszła — i najprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krażek księżycy tonący w błękicie;
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła,
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła
Na licu swoim przezroczystsza białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą;
I ciszej źródła po murawach dyszą.
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czym cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi błądy pierścionek Djanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzączą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny.
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę! —
Ani jój oczy kiedy takie ładne,
Ani jój usta takie były świeże!
Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże,
I przeświecony od słońca w połowie
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże —
A pod motylem pochowane róże
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Napół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc, że zawsze strzeżę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.

I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
 Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
 Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,
 Szalet się oku wydawał jak trumna!...
 Malenki, cichy — kiedym spojrział z góry:
 Nasz ogród z wisien jak cmentarz ponury,
 I niespokojne o nas gołębice,
 I zadumane o nas w łąkach trzody! —
 Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
 Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
 Wszystko zaczęło mię straszyc i smucić,
 Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić,
 Szedłem posępny i drżący na góry, —
 Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
 Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
 Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
 Dom pustelnika śniegiem przysypany,
 I dwa ogromne na straży brytany,
 Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
 Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.
 Pamiętam tylko że promień zachodu
 Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
 Kiedy na palec jój, zimny jak z lodu,
 Kładłem pierścionek

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O! nie pytajcie wy mię smutne o nią!
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drzę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść — i gdzie być samotnym?
I staję błądy i krészę jój rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym,
Lub błędę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi posiada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemu oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem,

Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
 Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
 Gdzie co noc blada zaziera Djanna,
 I czoło moje smutnym blaskiem mami.
 I tak mię budzą zalanego łzami:
 To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
 I wstaję blady, przez okno wyzieram,
 Słuchając różnych płaczów na dolinie.
 Słowiki jęczą i fontanna płynie —
 Mówią mi o niej — ja serce otwieram
 I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
 I schnę, i wędnę — i ach! nie umieram —
 I co dnia, budząc mię fontanny, płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
 Nie wiem jak sobie jój obraz malować?
 Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
 Jak z roztwartymi skrzydłami gołębie?...
 Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
 Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę.
 Wbijała oczy błękitne, otwarte,
 Na każde moje spojrzenie ostrożna?



Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
 Chodziła gdyby zakłęta królowa?
 Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
 Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
 W księżycu blasku biała? — lub wieczorem
 Od alp, na śniegu różowych — różowa?

XXI.

Zkaąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
 Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie;
 Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
 I tam polecę, gdzie one polecą.
 Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
 Gdzie tylko posłę przed sobą myśl¹ biedną,
 Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno, —
 I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
 Więc już nie myślę teraz — tylko o tém,
 Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
 Miejsce — gdzie żaden duch nie trąci lotem
 O moje serce rozdarte i krwawe;
 Miejsce — gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
 Idąc po fali, zaszeleści złotem,
 I załaskocze tak duszę tajemnie,
 Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

NAD POTOKIEM.

. Wyszłam po jagody rano.
Wpół wyschły potok przebiegłam po kładce
I w las. — Aż oto z czarnego obłoku
Słyszę grzmot. — W lesie nie wiem o ulewie,
Dzbanek mi rośnie, a rośnie przy śpiewie,
I znów pogoda. — Wracam do potoku, —
O dobre bogi! Co za widowisko
Potok stał się rzeką,
Zda się, że porozpiera kamienne łożysko;
Kładka daleko
Po głębinie
Płynie. —
Kilka kamieni sterczy od brzegu do brzegu:
Przeskakując z jednego na drugi — wpół biegu
Stałam.... fala, ta nielitościwa,
Ostatnie głązy porywa!
Sama, na środku potoku!

Czułam jak się głąz drżący oślizgał podemną,
 Przesuwało mi się w oku,
 To skrząco, to ciemno
 Chciałam krzyknąć, — głosu niéma.

Obłąkanemi powiodłam oczyma,
 I widzę nad sobą, blisko,

Ale wszystko na pagórku tam

Jak żywy sen, jak zjawisko,

Stał on

.
 Już na las i na wody padała ciemnota

Tylko pagórek świecił się różowo — —

On w tej światłości, z tęczą po nad głową,

Stał jakby cały ze złota.

Myslałam, czy król jaki, czyli bóstwo które?

I drżałam by po chwili nie wrócił za chmurę.

Patrzył na okolicę:

Niziej powiódł okiem,

Ujrzał istotę,

Co się mocuje z potokiem;

Krzyknął, zbiegł z góry jak strzała.

O wierz mi, wtedy nawet, w tem topliwym zimnie,

Ogień mnie oblał patrzę przeze-łzy:

Już moje zjawisko złote,

Na brzegu, na głązach, przy mnie!

Wyciągnęłam ramiona i wołam: „To ty”!

Czemu ja, com go dawniej nigdy nie widziała,
Ja, którą męskie oko zaledwie nie spali

Powitałam go tak śmiało?

Nie wiem.... mnie się wtedy zdało...

Żeśmy się zawsze kochali!

.....

Stał przy mnie—było wężko na odłamach skały;
Obojeśmy od huku przytomność stracili;
Objął mię i chciał z wody unosić; — w téj chwili
Oczy się nasze spotkały.

Co ja wtedy doznałam? Nie wiem.... skalne złomy,

Las, rodzina, kraj, świat cały

Prysnęły we mgłę znikomój....

Wpadłam jakby w nicość błogą.—

Lecz z téj nicości czułam, że szczęście wystrzeli;

Obojeśmy zapomnieli

Że pod nami skon.

Pod całemi już Niebiosy

Nie było nikogo,

Tylko ja i on!

I jak się w pieśni stapiają dwa głosy,

Jak w jeden puklerz trafiają dwie strzały,

Jak się za tknięciem łączą dwa płomienie

Tak zwolna, a niezwalczenie

Usta się nasze spotkały.

Jak to być mogło, dotąd zrozumieć nie mogę:

Ja co się dzisiaj rumienię,

Wówczas, żebym też czuła choć najmniejszą trwogę,
Najcichszy głos wyrzutu? Nic! Miałam wzrok

[śmiały,

W ruchach królewskość i w sercu niewinność;

Jakbym spełniła powinność!

Ach! może to bogów dzieło?

Wtedy serce me przejęło,

Żeśmy tylko na to żyli

Ażeby dożyć téj chwili.

.

. . . W tym zachwycie

Mogliśmy stać całe życie.

Przebudził nas huk topieli,

Kamień z pod nóg nam ucieka.

Porwała nas rzeka,

Jużeśmy tonęli

On mnie jeszcze w silniejsze uściśnął objęcia,

Ja w nich czułam się mocna jak gdyby w pan-

[cerzu,

Spokojna, spokojnością małego dziecięcia.

Wypłynął — na zielonem złożył mię wybrzeżu.

A ja niemądra dziewczyna

Padłam przednim na kolana,

„Ty,” wołałam pomieszana,
 „Co czuwasz nad tonącemi,
 „Czyś ty z nieba, czyś ty z ziemi?”
 Nagle mi się przypomina,
 Ze to człowiek obcy, młody;
 Wstaję — milczę jak zabita,
 On uśmiechnął się i pyta:
 „Mój ty kwiecie kalinowy,
 „Wskaż mi drogę do gospody
 „Zmęczyły mię srodze łowy.”
 Więc poszliśmy znów przez pole.
 W domu, ach jakże przyjęto
 Zbawcę dziecka jedynego!
 Pierwsze miejsce wziął przy stole.
 Toż dopiero było święto!

.....
 Od owego dnia widzicie,
 Przeszłość mi się wydawała drogą w pól zatartą,
 Na którą się już nawet obejrzyć nie warto.
 Wstąpiłam w życie nowe. To prawdziwe życie!
 Póki serce me kochało.
 Życie jest jak okolica
 Której słońce nie oświeca.
 Może ona jest wspaniałą
 Cóż gdy noc z niej farby starła!
 Ziemia leży jak umarła —

Lecz niech tylko, zorza w dali
Porozrywa chmur powicia,
Każdy pyłek się zapali
Nieśmiertelną iskrą życia;
Wszystkie barwy świt odnowi,
Wszystkie kształty dzień wyciosa.
Cóż się stało obrazowi? —
Słońce weszło na niebiosą.
O miłości! O jedyne
Słońce szczęścia w ludzkim niebie!
Lepiej z tobą żyć godzinę,
Niż wieki bez ciebie!

Deotyma.



Widok na...
Widok na...
Widok na...
Widok na...



Za służbą.

F A R Y S.

(KAROLA BALIŃSKIEGO.)

O! i ja kiedyś byłem Farysem!
Lecz czy wy wiecie co Farys znaczy?
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma — olbrzym niech wytłumaczy.
On tylko jeden prawdę wam powie,
Jemu więc wiercie jak Koranowi.

„Farys” — step mówi — „to dziecko moje!
To duch tęsknotą nieba trawiony,
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła,
Ani uroczej cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła,
I blaskiem oczu miłszym sto razy.

Próżne pokusy! bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce!"

Więc jam był gońcem i gońców bardem:
Cudneż to było to nasze grono,
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,
I z tem ramieniem młodzieńcem, hardem!
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spojść, wierząc, że zbrata!..

Patrzcie! tam w koło piaszczyste wzgórza,
Niby umyślnie słane mogiły —
Czasem się z głębi skielet wynurza:
Spytaj tych kości — czem one były?
Ha! to mogiły Arabistanu!
To tylko ślady stóp uraganu!

On to Farysów pochłonał w sobie,
Pochłonał żywcem braci kochanych!..
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gońców już zapomnianych!
Czy to jest łaska — czy kara nieba?
Allah żyć kazał — więc żyć potrzeba.

Jak młode orle z złamanem skrzydłem,
 Co się już nigdy w niebo nie wzniesie —
 Życ — życiem gadu, gnuśnem, przebrzydłem,
 W tych smutnych murów ciasnym zakresie!..
 Ha! próżne żale! śpiewaj pajaco!
 Tylko zabawnie, bo nie zapłacą.

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
 Ja — Farys, piewca z niebios natchniony,
 Pieśń mą na ziemskie przestrajac tony,
 Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
 By czem okupić cień cudzej strzechy,
 By zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!!..

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie
 Jest jako słońce na niebios sklepie,
 Co na wszechwładne Boga skinienie
 Świeci wędrowcom błędzącym w stepie;
 A przecież słońcu nie płacisz za to,
 Że cię zbawienną poi oświata.

Oni nie wiedzą, że piewcy śpiewy,
 Jak ów dziewiczej ogień miłości,
 Co za niebiańskie swoje wylewy
 Nic, nic nie żąda, prócz wzajemności.

Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!

Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!

Allahu! jakże dręczysz mnie srogo!

I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,

Niby po cichu powie: „za drogo”.

Za drogo — mówisz? powiedźże, bracie —

W jakiej wy cenie życie sprzedacie?..

Bo słuchaj: pieśń ma — to część życia;

Tam jest krew moja! tam są łzy moje!

I mego serca pospieszne bicia,

I uczuć moich, i myśli roje!

A każdą żeby dostać, wyjawić,

Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!..

Więc cóż? za drogo? — O! bądźcie szczerzy!

Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,

Jak ja, pelikan, rozrywać piersi,

By krwi za cenę złota dostarczyć:

W jakiejby cenie była kropelka

Krwi, lub łzy waszój, choćby nie wielka?

Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia —
To boleść matki w chwili porodu:
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia;
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył

Czasem, w dodatku, słyszę oklaski,
Szczerze, czy zwodne — wszystko mi jedno!
Znam tych błyskawic przelotne blaski,
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze oklaski — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczłą pięścią kołacze,
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
Czem nie mówicie, że pięknie płacze?
Czem nie mówicie, że z czuciem śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie,
Też samą szczerością śpiew mój ma w sobie.

A więc schowajcie marne pochwały,
Gdy pieśń ma święta jako łzy syna!
Nie takie wieńce wieszczom przystały:
Wieszcz takie wieńce depcze, przeklina!

Duch jego wielki i wiecznie młody
Innej, o! innej żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa,
Święta, uroczą, z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się chowa,
Co kiedyś światu zagrzmie wszechwładnie;
Cisza, co mówi — że ziarno wschodzi,
I myśl - kwiat, wkrótce owoc - czyn zrodzi.

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem,
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia,
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem,
I owa chmura cieniąca czoła,
Z której połyska miecz Archanioła.

To mi nagroda!... jam ją odbierał!
W koło mnie stali bracia Farysy,
Każdy pieśń moją sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo,
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą.

Farysy znikli! głucho na stepach!
A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,
Dmąc po wywianych czaszek czerepach. . .
On wszystko wywiał!. wszystko przewiało,
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!.

O! i mnie pora spocząć w mogile!
Zasnąć snem braci błogosławionych;
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarni tyle,
Gdy głos Allaha budząc uspiomych,
Na swoje rajskie zwoła ogrody,
I ja niebiańskiej doznam nagrody.

W tym boskim raju, w tem siódmym niebie,
W waszej ojczyźnie, o! prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni,
I zmiję tyłą krwi przesiąkniętą —
Wyrwie mi z serca pamięć przekłętą.

I najcudniejsze zwoła dziewice,
I rzeknie: „służcie jak padiszachu!”
I ja nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: „Allahu!

Jam tylko prawdy szukał na świecie,
A taką miłość znajdez w kobiecie?!

Nie chcę hurysy choćby piękniejszej
Od téj, com niegdys kochał na ziemi;
Lecz ja nie gardzę dary Twojemi,
Ja tylko łaski błagam pełniejszej:
Za wszystkie, wszystkie Twoje hurysy,
Niech wstaną moi bracia Farysy!

I pozwól, pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnéj naszéj młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem Farysów,
I piersi dawnem orzeźwić biciem
I dawnem naszym zabłysnąć życiem!"

Allah wysłuchał!.. Wnet grzmiące głosy
Wystraszą z głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!..
Widźcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biędne robaki,
Przyjdzie ochota do jazdy takiéj.

DWIE PIASTUNKI.

Od kólébki, tylko, tylko
Com przezołgał kilka lat,
Już mnie rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inszy świat;
I zostawia chłopię młode
Na wygodę, niewygodę.

O! już wonczas główka mała
Przędła wdzięcznych widów rój,
Co żądała, nie żądała,
To se plotła w senny zwój;
Zlatywała myśl nieboga
To od Boga, to do Boga.

Raz sennemu tak przypadło
Dwoje dziewic, białych róż,
Jak widziadło, niewidziadło
Przy nagłówku stały tuż.

Jak do matki — ku nim kłonię,
Jednej dłonie, drugiej dłonie.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma:
„Ja mu dam śmiejące lice,
Niechaj zbytek, szczęście zna,
I myśl jego się pobrata
To ze światem, to do świata”.

„Puszczaj, siostró, — rzecze druga —
Puszczaj rączkę, — w malcu tym
Budzić rokosz — nie posługa
Ni to jemu, ni to im.
Ja go wnianczę w ostre bole,
Wnianczę w dolę i w niedolę”.

A mówiła taką twarzą,
Tak jój oczy zaszły łzą,
Tak się w niój cierpienia skarżą,
Że mi ku niój piersi drżą;
Zem się rzucił cały pono
Na jój łono i w jój łono.

Wtenczas zdala, znikła, znikła
Druga postać w jasnym tle,
A mnie smętność tak niezwykła
To do główki, to w piersz się.
Bo zostałem z własnej woli
Dzieckiem doli i niedoli.

Odtąd nianka zazdrośnica
Zaszczepiała dzień i noc
Boleść w serce, smutek w lica,
Słabość ciała w męską moc;
Urabiała Bóg wie na co
To ladaco na ladaco.

Czasem, czasem z za obłoku
Zapromieni drugiej twarz;
To ja lecę, lecz w wyskoku
Już, już tęsknię, Boże skarż
Za tą pierwszą zapłakaną,
Tak mi znaną i nieznaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami?
Kiedy tak mi lubo z łzami,
Kiedy serce jak koń w czwale
Rzuca pianą w cierpień szale,

I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli...

Lecz cóż robić? kiedy żale,
Co się skąpią w zdroju łez,
To tak mówią okazale
Jak lilja, róża, bez;
I siostrą ci są i bratem,
I są kwiatem i nie kwiatem.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpnię, widzi Bóg,
Już méj dłoni nie odczepię
Od jój szyi, od jój nóg,
Bo w méj drodze jest sąsiadką,
W życiu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze,
Och! był to weselny dzień,
Bębny biły mi po drodze,
W pośród huku, w pośród grzmień
Zdało mi się tylko zdało,
Bo się rwało i urwało....

I straciłem raz na zawsze
Do méj chatki drogiéj szlak,
Na rozstajne, na najkrwawsze
Drogi wbiegłem jak ten ptak,
Co go w klatkę pchną sokoły,
Niby wesół, nie wesoly.

Ach! raz znowum na domowym
Progu, zdybał szczęścia zdroj,
Usty, sercem niejałowem,
Usłyszałem : twoja, mój!
I uciekłem w krąg zamęzcia
Przed nieszczęściem od nieszczęścia.

I wypchnąłem mą piastunkę
Za dziesiąte, siódme drzwi,
I oddałem jéj skarbunkę,
Pełną łez i pełną krwi;
I rzekłem jéj : to ostatnie
Łzy me bratnie i niebratnie.

Gdzie tam!.. przyszła do podwoi,
Do znajomych sobie wrot,
Tuż przy łożu żony stoi,
I roztacza chorób splot,

A szczęście mnie pożegnało
Trumieneczką jedną — małą.

Ha! cóż robić? piastuj sobie,
Ulubięca piastuj wciąż,

To w żałobie, to w chorobie
Mocnem pętem k'sobie wiąż.

Ej! strzeż! bo ci się wysliznę
Z tój mielizny w głąb', w mieliznę.

Dominik Magnuszewski.

WIERSZ DO POEZJI.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca, 7
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukążesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!

Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz, 7
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwycą.

Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żyłastych prawicach;
Z krzykiem rospaczy rzuca się w stronę,
Gdzie im ukążesz groby zniszczone, —
Na który widok, zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz, w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie,—
Zwycięztwo będziesz śpiewać przy zgonie
I śmierć mu przejdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód ludów;
Ty jedna cudem ludy obalasz,
Niezwyciężone tłumy ocalasz,
Poezjo, matko narodów.

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarni, światłość bez końca
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poezjo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikięj niezgody zgasną płomienie;

Na twój czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki;
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezjo!—prawdo narodów!

Teofil Lenartowicz.

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło boso w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie na progu
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte, szpetne,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu,
— Co chcesz dziecię moje?

— Sława Bogu!

— Na wiek wieków!

Co chcesz dziecię moje?

— Ta za służbą... o! pies! ja się boję!

— Pies ten złego nie robi nikomu,

Chodź tu bliżej, bliżej, a czyja ty?

— Ta niczyja.

— A gdzie matka?

— Zmarła maty.

— A Twój ojciec?

— Ojciec w karczmie siedzi,

— Cóż ty robisz?

— Żywią mnie sąsiedzi,

Czasem dadzą, a czasem nie dadzą

W zimie często do pierza posadzą,

Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje

Jagodami, ot! człowiek biéduje!

— Jaki człowiek?

— Ta ja pani miła,

Ciężkie moje życie, lepiej gdzie mogiła,

Tam gdzie matka... Ot źle być sierotą

Na wierzchu ziemi...

— O moje złoto!

Takie małe!.. tak mówi rozumnie,

To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?

Cóż ty umiesz?

— Ta chatę zamiatać,

Myc naczyńie...

— Figle umiesz płatać?

(Ono myśli długo) — Także umiem,

A i gęsi ludzkie paść rozumiem.

— Czy ty głodna?..

— O! o! bardzo głodna...

O ty ziemio nasza! ty zawodna!

O ty ziemio nasza! tak bogata
 Że wyżywić mogłabyś pół świata
 A dla własnych dzieci nie masz chleba...
 Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
 Zawsze pełne rosy twoje nieba,
 A podobnaś do popiołów urny
 I lud często chodzi smutny, chmurny,
 Często grzeszny, ach! bo nieszczęśliwy.
 O! ty ziemio nasza! ty zawodna!
 Strojna taka licem i swobodna,
 Grzybne twoje lasy, wody hojne,
 Kwietne twoje sady, pszczoły rojne...
 O! nie owoców już, ani miodu,
 Ale nie masz nawet chleba, chleba...
 Patrz, to dziecko prawie od kołyski
 Smutnie patrzy na twoje polyski,
 Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
 Rozwinęła już jemu potrzeba
 Myśl i serce, i już traci wiarę:
 Ledwie umie mówić, już się skarży,
 I o grobie niby starzec marzy...
 O ty ziemio! ty macocha gminu!

* * *

Gdzie me dzieci? chodź tu! chodź mój synu,
 I ty drobne w pieluszkach, tu chodźcie!

Usta wasze uśmiechem osłódźcie,
Powitajcie tę siostrzyzkę waszą;
Ta co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze, białem jest jój ciało.

No, rączkami twarz jój pogłaskajcie

Ale najprzód jeść, o jeść jój dajcie!

Kornel Ujejski.

ZAMKI NA LODZIE.

Tyle szczęścia co człek prześni,
Tyle życia co jest w pieśni.
W. Pol.

I.

Mam ja wioszczkę, w wioszczce dworek,
Stodoły, śpichrze, lasek i borek,
Ogródek, łąkę a na téj łące
Polne kwiateczki, ziółka pachnące,
W ogrodzie móstwo jabłoni, gruszy,
Gdzie spojrzysz śliwa w owoc się puszy,
A co tam malin! Boże mój Boże!
Niby dziewczęta krasne i hoże.
Jest i altanka i wiatrak z darni,
Krówki w oborze, owce w owczarni,
A letnią porą moje zagony,
Złocą się zbożem na wszystkie strony,

A w moim stawie ryb co niemiara,
W pasiece pszczółek za chmarą chmara.
A mam i wzgórze gdzie suchsza strona,
Na niem co jesień lśnią winne grona;
A z mego okna od strony drogi,
Widać jak ludek snuje się mnogi,
Jako przechodząc gaik lipowy,
Przed Matką Bożą odkrywa głowy.
A z mego okna od strony rzeki,
Widać pagórków łańcuch daleki,
Jak wschodzi słońce, jak za jutrzeńką,
Snopy brylantów ciska w okienko.
Ej! moja wioska jedna z tysiąca,
Mlekiem i Miodem ziemia płynąca.

*

*

*

Tak marzył młodzian w lichój izdebce,
Słuchając złudzeń mary zdradzieckiej,
Cieszył się z rajy o którym szepce,
Choć goły jako święty turecki.
Lecz gdy marzenie duszę zapali,
Człek zapomina co w sercu bodzie...
I młodzian pragnąc, budował dalej,
Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

II.

Nie mi nie braknie, nie, co się zowie!
Kłopot nie zbieli włoska na głowie,
A wszystko piękne a wszystko moje,
Jaki ganeczek! co za pokoje!
Jeden niebieski jak niebo jasne,
W kwiecistym błogo po pracy zasnę,
W zielonym biórko, biblioteka,
Doborem książek wabi z daleka.
W dzikim myśliwca porządek wszelki,
A w saloniku co za mebelki!
Jakie obrazy! umysł i oko
Zachwycą pięknem, myślą głęboką.
Nie mi nie braknie!... nic?... eh! nie powiem...
Czasem tęsknica cięży ołowiem,
Mój raj przybiera postać żalobną,
I Adam w swoim tęsknił podobno...
Do mego państwa braknie królowej,
Z nią to i urok przyplynie nowy,
I już nie smutno będzie we dwoje...
A kocham! kocham słiczną dziewoje!

Jój czystą duszę, jój ciemne oczy,
 Jój śnieżne czoło w wieńcu warkoczy,
 Anielski uśmiech, różane lica,
 Dobroć co serca korzy, zachwyca;
 Och! ona gwiazdą świeci nademną,
 Niosąc w promieniach miłość wzajemną...
 A jest bogata... ma pono krocie...
 Lecz ja nic nie chcę! co mi po złocie?
 Mam ziemię mlekiem, miodem płynącą,
 Czyż nam kłopoty spokój zamącą?
 Ja pragnę skarbu co w duszy płonie...
 Hejże! Walenty! zakładaj konie!
 Trza się oświadczyć; — z pomocą Bożą,
 Przywieziem żonkę śliczną i hożą!

*

*

*

Tak marzył młodzian, — głowa mu pała,
 W piersi coś żwawo huczy, kołata,
 Panna go znała... lecz nie kochała,
 Bo on ubogi, ona bogata...
 Lecz w ogniu marzeń, serca ze stali
 Topnieją, jako śnieg w wiosny wschodzie...
 I młodzian pragnąc, budował dalej
 Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

III.

Już mi tęsknota znika żalosna,
Witaj dziewico! świeżaś jak wiosna,
W twoim uśmiechu niebo się śmieje,
W twojem spojrzeniu szczęścia nadzieje,
Niech twym powabem oko popieszczę,
Podaj mi rączkę... i drugą jeszcze...
Och! ty mnie kochasz toć ja nie marzę...
Wzrok twój i wierzyć i kochać każe.
Uchodź z zimnego zbytków siedliska,
Tu wielkość dławi, przymus uciska,
Tu i natura, ta matka święta,
W nielitościwe karby ujęta.
Drzewa strzyżone jak w matniach zbrodnie,
Nie wolno rzeczce płynąć swobodnie;
Obce się kwiecie pod szklami plemi,
Żałując swego słońca i ziemi.
Tu krzew zamorski jak karzeł rośnie,
Wydarłszy miejsce lipie lub sośnie.
Zamiast słowika, rój papug gwarzy,
Ni swojej święty, ni swoich twarzy,

Tu nie wiadomo którądy droga,
Rzewnój modlitwie do Pana Boga!
Pójdź! ja mam wioskę, rząd białych chatek,
Są i roskosze, jest i dostatek,
I swobodniejszy oddech dla piersi,
I wszystko swoje i ludzie szczerzi,
Oddaj mi duszę... w zamian ci złożę
Co tylko miłość wymarzyć może!
Patrz!... tu gra idzie... tam w sali tańczą,
Podłoga runie pod tą szarańczą...
Tu do butelek cisną się zgrają,
Tam kłamią przyjaźń... tu obmawiają...
Ot! po tój stronie swobodniej nieco,
W cichój rozmowie chwilki ulecą...

*

*

*

Tak marzył młodzian; — inaczej wcale
Marzyła panna o tój godzinie;
Ona dumiała o karnawale,
Gdzie lekkim tańcem znowu zasłynie?
O miljonerze co wdzięki chwali,
O licznych hołdach, o nowój modzie;
A nasz młodzieniec, budował dalej,
Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

IV.

Życie nam w szczęściu błysnie różowo,
W cichój wiosieczce będziesz królową,
Gdzie szczere serca, gdzie ludzie prości,
Zstąpisz jak anioł czci i miłości.
Co ranek w pole konno wylecę,
Ty w gospodarstwo spojrzysz kobiece,
A gdy powrócę pracą znękany,
Rzucisz na chwilę domowe ściany,
Do wrót wybiegniesz tęsknotą zdjęta,
Podasz z uśmiechem drobne rączęta,
I w tym uścisku, przy twojem łonie,
Strudzoną głowę roskosz owionie!
Potem w ogródku odetchniem razem,
Bożej przyrody cudnym obrazem:
Drzewa cię w hołdzie cieniem osłonia,
Kwiaty otoczą wdziękiem i wonią,
Listki szelestem hymn ci ułożą,
Słowik piosenkę zanuci hożą.
Potem w czytaniu chwilka uleci,
Posłuchasz co tam gwarzą poeci,

O złudzeń świecie, o trosk zagubie,
(Bo choć mam wioskę, wierszyki lubię...)
Z dumki co czoło smutkiem zachmurzy,
Zbudzą mię twoje usteczka z róży;
Ludzka niedola gdy zakłopotą,
To mię ukoi twoja pieszczota;
Pójdziem oboje kędy łzy ronią,
Ponieść pociechę sercem i dłonią,
W tobie siermięga czucia nie zgasi,
To siostry nasze, to bracia nasi;

*

*

*

Tak marzył młodzian; — ale dziewicę
Marzenie innym wieńcem oplata:
Ona dumiała... że za granicę
Wartoby jechać z początkiem lata...
Stary adonis zamiar pochwali...
A ma miljony i mitrę w rodzie...
Tymczasem młodzian budował dalej,
Niebo na ziemi; zamki na lodzie!

V.

Hejże Walenty! hejże przekłety!
Rażno omijaj wzgórkę, zakręty!
Głośnij wąsiska, palnij z biczyska,
Poganiaj siwki, niech piana pryska.
Jakby na skrzydłach niechaj zawiodą
Do naszej wioski żoneczkę młodą!
Patrz mój aniele, patrz kochaneczko,
Tam po za mostem, tam po za rzeczką,
Widzisz kościółek; krzyż Zbawiciela
Promieniem chwały w niebiosu strzela;
A nieco dalej staw się krysztali,
Czołenko snuje po jasnej fali,
A tam na lewo gdzie wzgórze trzecie,
Dworek się bieli w kłębów bukicie.
To nasz zakątek, to wszystko twoje,
Wieniec swobody, roskoszy zdroje,
Cisza, współczucie, cześć, dola złota...
Hejże Walenty! huczno we wrota!
Stój!!!...

Wicher zawył, szyby zabrzękły,
Spłoszone widma prawdy się zlekły,

Świeca zagasła, cisza dokoła...
Zerwał się młodzian, otarł pot z czoła,
Staął jak marmur na marzeń grobie,
I rzeczywistość przypomniał sobie...

Jutro mu gwiazda złudzeń umiera,
Dziewica idzie za milionera,
Nie myśląc wcale o uczuć chłodzie,
Zasłubi skarby i mitrę w rodzie;
Pojutrze frunie z nim do Paryża.
Tam się wesele... tu cierń przybliża!

*

*

*

„Ach! — jęknął młodzian z sercem zbolałem,
To było marzeń rokoszne kwiecie,
Czemuż w złudzeniu nie skamieniałem,
Śniąc o radości, wierząc jak dziecko?!
Żegnam cię szczęście!... myślą zuchwałą
Krążyłem w niebios jasnej pogodzie,
Wiatr wionął — spadłem... cóż mi zostało?
Senne wspomnienia, zamki na lodzie!“

VI.

Jeszcze, och jeszcze! duszo młodzieńcza,
 Póki kwiat marzeń zmysły uwieńcza,
 Póki przelotnie w sercu się plemi,
 Jeszcze nie żegnaj szczęścia na ziemi.
 To co igraszką zdaje się marną,
 Te światy złudzeń co mózg ogarną,
 Wdzięczne obrazki co ci się roją
 Za upragnieniem, za myślą twoją,
 Nieraz ci będą jedną osłoda,
 Prawdziwych bólów co duszę bodą!

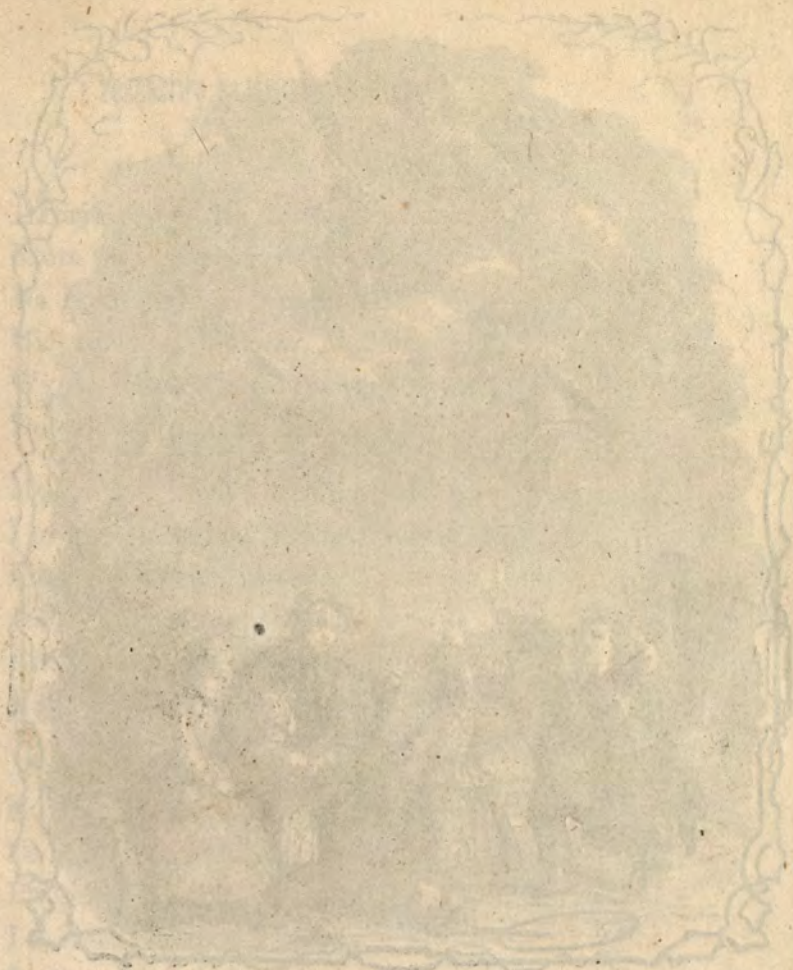
*

*

*

Szczęścia, och szczęścia! świat cały woła,
 Wielcy i mali, mądrzy i prości,
 Jaką ma postać? czleka? anioła?
 Kwiatka paproci? laurów mądrości?
 Gdzie się ukrywa? jaka doń ścieżka?
 Czy po przymusie? czy po swobodzie?
 Ot! może szczęście prawdziwe mieszka
 W pieśni, w marzeniu... w zamkach na lodzie!...

Jan Chęciński.





Przędziwo Najświętszej Marji Panny.

PRZĘDZIWO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

Marjo przeczysta, Święta Panienko,
Która naszego życia włókienko
Na Boskie zwijasz wrzecziono,
Miej nas w swój pieczy, Matko jedyna
Wyproś nam, wyproś u swego Syna,
Doleń od cierpień zwoloną.

My już czci Twojej zdawna oddani,
I nie pragniemy, o Niebios Pani!
Purpury, blasku, ni złota,
Ani tych uciech które świat iści
Ani posłania z różanych liści
Na twardą drogę żywota.....

My pragniem tylko dążyć wytrwale,
Ku dobru wszemu, ku Bożej chwale,
Co w sercu źródło cnót szczepi:
Pragniem by godłem była nam: praca,
I miłość, która życie ozłaca,
I wiara, która je krzepi.

PIERWSZA ZMARSZCZKA.

O płci niewieścia, kobiety! kobiety!
Któż z wami powie ostateczne słowo?
Zanim raz dojdzie pożądanėj mety,
Sto razy drogę rozpocznie na nowo;
Kto z wami myślą i uczuciem zbratan
Ten wam pod nogi władzy rzucił godła;
Jeżeli kobietę w raju skusił szatan,
Toż ona potem aniołów uwiodła.

Gdy Stwórca ziemi dał stworzeń koronę,
Czyniąc kobietę téj korony perłą,
Dał jój myśl czystą, serce nieskażone,
I piękność ciała, królowania berło.
Lecz do niój drzewo śmiało się jabłoni,
I wąż pokusy czekał już u drzewa.....
Szatan przemówił... i zgrzeszyła Ewa.....
O ileż jabłek nazrywano po niój!!!

Kobieta, to jak parabola komet,
 Co niezbadaną wiecznie nam zostanie;
 Kobieta,—tak jój lękał się Mahomet,
 Że ją wykreślił z raju w alkoranie;
 Kobieta..... ale przejdę już do treści
 Bom widzę od niój zanadto oddalon,
 A najtrudniejszy początek powieści.
 Było to z rana po dziesiątój; salon.....

Otóż nie salon, lecz buduar kobiecy
 Co wymyśliły nowożytnie wieki,
 By na tój w życiu odtąnczonej hecy,
 Krył miłość skrzydłem tajemnej opieki.
 Ów buduar, w którym myśmy utopili,
 Naszą odwieczną prostotę Sarmacką,
 Skarbnica gustu i wykwintu cacko,
 Gdzie dramat cały w jednej miga chwili.

Tam tęcza światła nieśmiała i drżąca,
 Zwolna przebija szyby malowane,
 I różnobarwnie łamiąc się, potraça
 Jedwab' lub złoto, szkło lub porcelanę;
 Tam dziwnym szalem woń upajająca,
 Zewsząd ogarnia zmysły rozkochane,
 Tam duch rokoszy krążąc nad powałą,
 Kołysze duszę..... a rozbudza ciało.

Skarbnica gustu, gdzie nagromadzone,
Myśli kobiece, co w kształty nawisły,
Owe salonów zabawki pieszczone,
Owe bogactwa i zbytku wymysły;
Nieład w porządku ułudny i zradny,
Bo myśl w człowieku krępuje i wolę;
Jak w czarodziejskiem zagrożony kole,
Próżno w niem szukasz nitki Arjadny.

A bóstwo owój uroczej świątyni,
Na cześć którego te ołtarze stoją,
A piękna czarów i cudów mistrzyni,
Co tu ożywia wszystko myślą swoją,
Która przed serca twojego oczyma,
Umiała zalsnić szczęścia przepowiednią,
Co cię na nitce woli swojej trzyma,
To jest kobieta..... na kolana przed nią!

Na miękkim puchu zamorskich jedwabi
Skloniwszy głowę, pochyliwszy kibić,
Z tym wzrokiem co tak czaruje i wabi
Żebyś chciał serce do jój oczów przybić,
Jak biały posąg z pod rzeźbiarza dłuta,
Ona siedziała, a w ciszy uroczej,
Myśl błędna w głębi jój serca wysnuta,
Wybiegła w przestrzeń i lżą skryła oczy.

Jeżli kobiety zamglona powieka,
Jeżeli myśl jój za marami goni,
O! wówczas bracie bądź pewnym, że do niój
Szczęście nie przyszło, albo już ucieka.
Bo ta, której się miłość rzeczywiście
Już ideału pokochać nie może,
A kiedy serca kwiat opada z liści,
Wspomnienie w marzeń wybiega bezdroże.

A była ona w tój już porze życia,
W której uroda, w której wdzięk kobiety,
Do zupełnego przychodząc rozwicia,
Pierwszą swą świeżość już traci niestety!
Gdy wszystkie siły i ciała i ducha,
Czasby pragnęły powstrzymać najdłużej,
Kiedy głos jakiś wciąż szepcze do ucha:
„Dopóki można życia jeszcze użyj!”

O! lat trzydzieści to twarda opoka,
O którą życia rozbija się fala;
Gdy młode dziewczę patrzy na nią zdala,
Słońce jest jasne, a droga szeroka;
Lecz kiedy znika w tój duszy niewieściej
Świeżość, a serce odbieżyło od niój,
Jakby przy blasku piekielnej pochodni
W ogniste głoski świeci lat trzydzieści.

Wówczas się dusza do przeszłości wraca,
 A gmachu złudzeń rysują się cegły;
 Wszczyła się owa Syzyfowa praca
 Co dzień bieżący kładąc za ubiegły
 Każdą godzinę rospaczkliwie liczy
 I wszystkie siły w walce trawiąc marnie
 By najdrobniejszej chce bronić zdobyczy,
 Co czas zwycięzca pod swą władzę garnie.

Snadź i jój smutne muszą być marzenia,
 Bo w odblask myśli co się w sercu chowa,
 Piers się nieznacznie wzdęła do westchnienia,
 I usta ciche wyszeptaly słowa:
 „Czyż zaszła zmiana śród świata i ludzi?
 Daremno szukam, rozmyślam daremno,
 Jakoś mnie wszystko i dręczy i nudzi,
 Mój miły Boże cóż się dzieje ze mną?”

To mówiąc wstała i niepewnym krokiem,
 Przeszła po miękkim tureckim kobiercu,
 Jak gdyby błędnym upatrując wzrokiem;
 Miejsca, gdzie lekko byłoby na sercu;
 Chciała myśl zebrać, zbrakło jój na sile,
 Powiodła ręką po licu wybladłem,
 Znowu stanęła, odpoczęła chwilę,
 I znów usiadła..... lecz już przed zwierciadłem.

A było ono precudnej roboty:
Ramy ze srebra misternie rzeźbione,
I dwóch aniołków trzymało koronę,
Pod którą błyszczał hrabiowski herb złoty.
W około niego jak w koło ołtarza,
Nagromadzone piękne i wabiące,
Owe przyborów kobiecych tysiące,
W których się życie światowe wyraża.

Więc pukle włosów odchyliwszy w stronę,
Długo wlepiła spojrzenia ciekawe,
W te rysy blade, czyste, lecz zmęczone,
W te oczy wielkie, piękne, ale łzawe.
I nagle, jakby przed sobą ujrzała,
Straszliwą postać jakiegoś widziadła,
Krzyknęła trwożnie..... i drżąca, strętowała,
Twarz nachyliła jeszcze do zwierciadła.

Na gładkiem czole, po nad śnieżną skronią,
Co pukle włosów odsłoniły płowe,
Które natura szczodro bliwą dłonią,
Ulała w piękne kształty marmurowe—
Jak lekka skaza, którą wprawne oko
W pięknym posągu ledwieby dojrzało,
Widniała zmarszczka wyryta głęboko,
Co się w to białe korzeniła ciało.

Wódz, gdy przeciwnik podejdzie go zdradnie,
 Artysta, kiedy parter go wysyka,
 Jeździec, gdy z konia na wyścigach spadnie,
 Poeta, gdy nań sroży się krytyka,
 Kochanek kiedy straci już nadzieję,
 Wszystkie męczarnie i wszystkie boleści,
 Nie wyrównają rozpaczy niewieściej,
 Gdy młodość znika, a piękność więdnije.

Wtedy ję wszystkie złudy i marzenia,
 Zimny wiatr prawdy zwieje do otchłani,
 Życie co dotąd rajem było dla niej,
 Odtąd w bezdenne piekło się zamienia;
 Wszystko co w świecie czciła i kochała,
 Biedne to serce udręcza i płoszy,
 I cała próżnia światowych roskoszy,
 I cała marność królowania ciała.

A więc nie dziwuj się bracie, że ona
 Pod tym ciężarem uchyliła głowę,
 Że utraciła wzrok, czucie i mowę
 Jakby w kamienną bryłę zeskalona.
 Zmartwiało ciało, lecz w żyjącej duszy
 Dwie myśli tkwiły w różnobarwnych szatach:
 Raz owa przeszłość co śniła na kwiatach
 To znów ta przyszłość co śnięgami pruszy.

Ale o dziwo! choć zmysły zmartwiały,
 Oczyma ducha widzi w osłupieniu,
 Jak za zwierciadłem, powoli, w półcieniu,
 Obłok się lekki unosi i biały.
 I mgliste w okrąg obsłony roztoczy,
 Preży się, rośnie, bije o sklepienia,
 W żywotne kształty zlewa się z przezroczy,
 I dźwięczy szmerem, który w śpiew się zmienia.

Ś p i e w.

Śród światła i blasku,
 Jak w morzu żdźbła piasku,
 Rodzina tak nasza skrzydlata!
 W nas życie się wciela,
 Młodości, wesela,
 I wszystkich jaśniejszych barw świata.
 My ziemskim tchniem duchem,
 Bo wiecznym łańcuchem,
 Związani ku matce, ku ziemi.
 Wir zabaw światowych z nicości nas budzi,
 My żyjem dla ludzi i myślím przez ludzi,
 I czujem zmysłami ludzkiemi.

Kobietę z dziecięciami,
 Przyjąwszy w objęcia,
 W światowe prowadzim ją progi;
 Dopóki w niej gości

Blask pierwszej młodości,
 My życia torujem jój drogi.
 Dodajem jój skrzydła,
 By w ziemskie mamidła
 Miłosnym wybiegła zapałem;
 W marzeniach ją błogich kołyszem wspaniało,
 Tchnąc żądę na myśli, a rokosz na ciało,
 Panujem nad myślą i ciałem.

My wijem koronę,
 Do której wplecione
 Miłości, uśmiechy, wejrzenia,
 Uciechy godowe,
 I słówka miodowe,
 I serca i zmysłów zachcenia.
 Tak rój nasz skrzydlaty,
 Szybując nad kwiaty,
 Piosenką brzmi ciągle biesiadną,
 Lecz smutek nas mrozi, a starość odstrasza,
 Znikamy gdy piękność przyćmiewa się wasza,
 Jak liście gdy z drzewa opadną.

Głos

(ze zwierciadła:)

Ja jestem prawdą..... a były chwile.....
 Wszakże pamiętasz..... to nie tak dawno
 Gdy uśmiechając się do mnie mile,

Włos płowy, ręką trefliłaś wprawna.
 W oczekiwaniu lgnąc duszą cała,
 Czas wyzywałaś, żeby biegł krócej.....
 O! tyś się wówczas mnie nie lękała,
 Przeszło to przeszło.....

Głos

(z figurki porcelanowej wyobrażającej Minervę:)

I już nie wróci.

Głos

(ze zwierciadła:)

Ja jestem prawdą, w nocy czy we dnie,
 Usługa moja była gorliwa;
 Już świeżość lica twojego blednie
 I blask twych oczu już się przyćmięwa.
 Więc kiedy możesz korzystaj ze mnie
 Dopóki pora, póki ci służę,
 Bo wkrótce wzywać będziesz daremnie,
 Młodość trwa krótko.....

Głos

(z flakonika z wodą ateńską:)

Ja ją przedłużę.

Głosy

(ze szkatulek srebrnych z różnemi przyborami do toalety damskiej potrzebniemi:)

Głos 1-szy:

Ja wracam świeżość.

Głos 2-gi:

Ja gładzę lica.

Głos 3-ci:

Ja umiem zmarszczki ścierać ze skroni.

Głos 4-ty:

Przezemnie twarz się rumieńcem płoni,
I żywym blaskiem iskrzy źrenica.

Głos

(ze zwierciadła:)

Nie łudź się, nie łudź prózną nadzieją,
Sztuka nie zdoła sprostać naturze;
Wszakże królowe kwiatów są róże,
Lecz któż je wskrzesi, kiedy zwiędnieją?
Naprózne trudy, daremna praca,
Już nie odżywisz wdzięków na nowo,
Piękność uchodzi.

Głosy

(ze szkatulek:)

Przez nas powraca.

Głos

(z pudełka z drogiemi kamieniami:)

I znowu będziesz wdzięków królową.

Głos

(ze zwierciadła:)

Ja jestem prawdą..... z tych chwil co biega,
Każda unosi część twoich marzeń;
Któż wskrzesi bicie serca twojego,
Świeżość twych myśli? rzewność twych wrażeń?

Choćbyś zdołała w ciele niemłodem,
 Wskrzesić gasnącą wdzięków urodę,
 To serce skrzepnie starości lodem,
 I zamrze.

Głos

(z pięknie oprawnych dzieł Lamartina:)

Serce wiecznie jest młode.

Głos

(ze szkatułki z koronkami:)

Bo cóż to młodość?—dziewczęciem hożem
 Tyś przez nią z czasu przebiegła strata.....
 Dziś doświadczenie przychodzi za to,
 Zrobisz co zechcesz.

Głos

(z woreczka z pieniędzmi:)

A my pomożem.

Głos

(ze zwierciadła:)

A więc chcesz w walce żyć nieustawniej,
 Z duszą znudzoną i sercem suchem,
 Przystrajac strzepy świeżości dawniej?
 Dawnych się uczuć żywić okruczem?
 Jakaż to droga smutna i twarda
 A po niej otchłan łoż i boleści!....

Głos

(z szesłaga aksamitem obitego:)

Kwiat życia kobiet, to lat trzydzieści,
 Czytaj Balzaka, czytaj Bernarda.

Głos

(ze sztychu *Ninon de l'Enelos* wiszącego na ścianie:)

Roskoszy młodość nie pojmie płocha,
Ogień namiętny trwoniąc bezpłodnie,
Kiedy krew z wiekiem w żyłach ochłodnie,
Lepiej się żyje, silniej się kocha.

Ś p i e w.

Korzystaj i użyj,
Dopóki czas służy,
I skrzydła mu krępuj motyle;
We wdzięki bogata,
Żyj przez nie dla świata,
Nim serce twe złożysz w mogile.
Niech w nocną cię ciszę,
Złudzenie kołysz, e,
A we dnie uciecha niech budzi;
I biegnąc po kwiatach wesoła, swobodna,
Miód życia rokoszy wysączaj aż do dna—
To świata zadanie i ludzi.

I długo tak długo,
My naszą posługą
W czarowne otoczmy cię koło;
I żądze rozniecimy,
I myśli rozświecimy,
I blaskiem ubarwimy ci czoło.
Tchnąc błogie marzenie,
Odżywym promienie

Nad tobą jasności wiosennéj;
 Rwąc szczęście po drodze stopami lekkimi,
 Jak gwiazda co spada, przelecisz po ziemi,
 Ślad siejąc za sobą promienny.

Głos

(z zegaru brązowego z wyobrażeniem czasu wspartego na kompasie):

O! nie wierz zgubnym pokusom czarta,
 O! nie lgnij sercem do ziemskich kras!
 Czarna przed tobą przepaść otwarta,
 Cofnij się! cofnij! dopóki czas,
 Odwiecznym prawem przeznaczeń płyną,
 Chwile pogody i gromy burz,
 Ale z dniem każdym, z każdą godziną,
 Życie twe w przeszłość zapada już.

Niknie twa młodość wdziękiem bogata,
 Jak więdnie w jesień zielony smug,
 Chceszże dla płochych marności świata,
 Zrywać te prawa co wskazał Bóg?
 Chceszże zużyciem duszą zmartwiałą,
 Przeciągać chwile szalonych prób,
 I zmarłe serce i skrzepłe ciało,
 Oblekać fałszem, jak wapnem grób?

Te mary które pokusą zdradną,
 Łudziły serce w młodości snach,
 Jedna po drugiej z ciebie opadną,
 Jak cegły kiedy upada gmach;

Żadna ich wstrzymać nie zdoła siła,
 I żadna sztuka nie sprostą im,
 Próżno je sercem będziesz goniła,
 One się w mglisty rozwieją dym.

Wtenczas jak lampa co zwolna kona,
 Ostatek twoich utracisz sił;
 Złodowaciała, osamotniona,
 Ciałem i duszą upadniesz w pył.
 A gdy wyrzutów sumienia roje,
 Spychać cię będą w rozpaczę próg,
 Któż biedne serce pocieszy twoje?
 Kto wesprze twoją samotność?.....

Głos

(z krzyża hebanowego wiszącego na ścianie:)

Bóg!!!

* * *

I znikły owe promieniące twarze
 Co duchowemi świeciły widziadły,
 Światło zagasło, białe mgły opadły,
 I cisza była.... tylko w buduarze,
 Obsłonki okna lekko się rozwiódły,
 I promień słońca spojrzeniem wesołem
 Padł na kobietę, co z schylonem czołem,
 Przed krzyżem w niebo zasyłała modły.

BEZROBOCIE KOWALI

z F. Coppè'go ¹⁾.

Krótko prześwietny sądzie rzecz opowiem całą.
Otóż tak: Kowalom się świętować zachciało;
Mieli powód do tego; zima była srogą,
Znudziło się ludziskom mrzéc głód, bo za drogo
Za chléb trza było płacić, a zaś za robotę
Mało szło... Otóż tedy wieczorem w sobotę,
Gdy pan kassjer rachunki tygodniowe pisze,
Wzięli mnie do szynkowni moi towarzysze
I tam już, tak jak pierwsze zrobiłem wyznanie,
Nazwisk ich nie wymienię—rzekli: „Ojcie Janie,
Nie mamy już odwagi tak pracować dalej,
Niech nam podwyższą płacę. Ciebieśmy wybrali
Na sędziego, boś człowiek prawy i sumienny;
Oświadcz panu bez gniewu, żółci i przechwałek,
Że jeżeli nam płacy nie podwyższy dziennój,

¹⁾ Coppée jest jednym z najcelniejszych dzisiejszych poetów francuzkich. Muza jego przez ły patrzy w życie tych, którzy cierpią i wierzą. Jestto poeta boleści ubogich, bogata cnota; oburzania się na egoizm i ciemnotę. (Przyp. Red.)

To się dla nas dzień każdy zmieni w poniedziałek
 Od jutra. — Czy chcesz? — Pragną roboty, niech
 (placą!

„Dobrze, odrzekłem, jeżeli to się przyda na co,
 Probujmy szczęśliwości dobić się przez posty!” —
 Bo ja panie prezesie jestem człowiek prosty;
 Unikałem zatargów, w mojem życiu całym,
 Barykad na ulicach nigdy nie stawiałem,
 I z tymi co wrzask czynią trzymam się z ostrożną;
 No, ale towarzyszom odmówić nie można.
 Więc poszedłem do pana skłopotany srodze.
 Siedział przy stole, ale mnie wpuszczono. Wchodzę
 I wypowiadam wszystko, co tylko żądali:
 Jako trudny i ciężki jest żywot kowali,
 Jak on wiele zyskuje, a nam daje mało
 I że bez grzechu lepiejby płacić przystało.
 On wysłuchał wszystkiego, dopijając wina
 I rzekł mi:

— Ojcie Janie, poczciwy człeczyna
 Z ciebie, więc cię dla tego wybrali na posła;
 Dla ciebie będzie zawsze miejsce w mojej kuźni,
 Ale zapłata u nas i tak się podniosła,
 Więc nie dam; nie przyjdą... będzie u mnie
 (luźniej.

Wszystko to są leniwce, próżniaki, trefnisie,
 A zarzynać się nie chcę dla ich widzimisie.

Zamknę warsztaty. I tak nie jestem już w stanie
Wystarczyć im. Czy słyszysz?

Rzekłem: „Słyszę panie.”

Wróciłem do kolegów i w najlepszej wierze
Wszystko im powiedziałem otwarcie i szczerze.
Więc rwetes. Wszyscy rzekli: „Trzymajmy się tego.”

I zaraz bezrobocie stwierdzono przysięgą.
Ja przysiągłem jak inni; ale ręczę głową,
Że tam z nas niejednemu gdy wrócił do domu
I rzucił żonie na stół płacę tygodniową,
Może iza się kręciła w oczach pokryjomu
I może przez noc całą nie mógł zmrużyć powiek,
Wiedząc, że to ostatnia już pracy zapłata
I że trza będzie suszyć odtąd. Trudno, człowiek
Nie drewno. Toć ja także już podeszły w lata,
A przytem nie sam jestem. Więc w niedzielę
(zrana,

Wziąwszy moje wnuczęta drobne na kolana—
Bo córka mi już zmarła, a zięć gdzieś się chowa—
Czułem jako mi serce wielka troska bodzie
I straszną mi przysięga wydała się owa,
Którą nam dotrzymywać trza było o głodzie.
Ale cóż, innym także dola nie złocona,
A przysięgę się u nas dochowuje święcie.
Było mi tak jednakże, jakbym szedł na ścięcie.

Wtem drzwi się otworzyły, weszła moja żona,
Niosąc z prania bielizny mokrąj pakę całą,
Aż się staruszce pod nią zginały ramiona—
Więc jój opowiedziałem całą rzecz niesmiało,
Oświadczając, że zrywać przysięgi nie mogę.
Ona się nieruchomie wpatrzyła w podłogę
Długo, smutno i rzekła:

— Ha! trudno mój stary!

Wiész, że jestem oszczędną i pragnę, byś wiary
Dotrzymał, więc się sprawim uczciwie i zgodnie;
Ale czasy są ciężkie i na dwa tygodnie
Ledwie chleba wystarczy.

„Może się to sklei

Jeszcze tam jakoś”, rzekłem. Lecz żadnej nadziei
Nie miałem już, pan bowiem ostro upór karci
A wiadomo, że tamci strasznie są uparci.

Nareszcie przyszła zima. Wierzajcie sędziowie,
Chociażby z wnuczętami przyszło skonać z biedy,
Chęćby mi do kradzieży nie postała w głowie
I umarłbym ze wstydu na myśl o tem. Tedy
Wiem, że dla zrospaczonych nawet, którzy długo
Łzami przesiąkły żywot na ziemi tu wloką,
Spoglądając rospaczy własnej oko w oko,
Wstrzymanie się od myśli złój, nie jest zasługą;

A jednak w mroźne noce, kiedy drżały przy mnie
 Moje biedne wnuczęta i żona na zimnie,
 Przed ogniskiem zagasłem, co nie miało więcej
 Już się rozpalić,—kiedy smutny płacz dziecięcy
 Kwilił mi w uszach,—wówczas, na Chrystusa rany
 Przysięgam, nawet wówczas duszy mój znękanéj
 Nie nawiedziła nigdy szatańska myśl skryta,
 W której serce drży, oko czyha, ręka chwyta.
 I jeżeli dzisiaj oko zachodzi mi łzami,
 Jeżeli słabnę przed wami i płaczę przed wami,
 Jeżeli to wspomnienie przywiódłem tu moje,
 To dla tego, że widzę przed sobą tych troje,
 Dla których przecierpiałem....

Więc nędzy okruchy
 Zbieraliśmy na fanty, jedliśmy chléb suchy,
 Który się coraz bardziej ukazywał zrzadka...
 A dla nas pracujących mieszkanie to klatka,
 Co nam siły osłabi i smutku przysporzy.
 Wszak siedziałem w więzieniu; w więzieniu, nie
 (gorzój).

Próżnowanie jest męką. Mało kto da wiare
 Tój prawdzie, ale niechaj mu każą za karę
 Siedzieć w domu z rękami tak założonemi,
 I myśleć ciągle z wzrokiem przykutym do ziemi,
 To i połowę życia odstąpić by gotów,
 Żeby wrócić do swoich kowadeł i młotów.

Po dwóch tygodniach grosza nie było już w domu.
 A więc sam na ulicę szedłem pokryjomu,
 Szukając gdzie największa gromadzi się zgraja;
 Hałas bowiem miast wielkich mąci i upaja,
 I jakieś zapomnienie przychodzi do głowy.
 Mglisty i chłodny wieczór był listopadowy:
 Powracam — żona siedzi przy zimnym kominie
 I tuli dwoje biednych dzieciątek do serca.
 Mówię do siebie: „To ja? to ja ich morderca!
 A ona do mnie rzecze:

— Nie wiem co uczynię,
 Bo w lombardzie gdzie dzisiaj zachodziłam rano,
 Ostatniego siennika przyjąć mi nie chciano.
 Strasznie bowiem. Zkąd wziąć na chleb?

— Będzie,
 Rzekłem. I wówczas, Boga przyzwawszy na sędzie,
 Życie takie, myślałem, chyba niebu bluźni,
 Niechaj co chce się stanie, powrócę do kuźni,
 Ale pierwój, zebrawszy odwagę mą całą,
 Postanowiłem wstąpić do szynkowej sali,
 Kędy się towarzysze nasi zgromadzali.
 Gdy wszedłem, wszystko mi się jakby snem wydało:
 Pili! Gdy inni z głodu marnieją i giną,
 Oni piją! Nikczemni ci, co im to wino
 Kupują, męką naszą przedłużając znowę...

Niechaj starca przekleństwo spadnie im na głowę!
Wszedłem i wszyscy razem spojrzeli w tę stronę.
Widząc krwią zasze oko i czoło schylone,
Odgadli pewno zaraz, po co tu przychodzę.
I wszyscy wnet się na mnie nachmurzyli srodze.
A ja rzekłem:—Słuchajcie, dziś krok do was robię;
Jam stary, żona moja stara, dwie dzieciny
Naszéj córki nieboszki trzymamy przy sobie;
Już w domu nie ma chleba ani odrobiny,
Nic ponieść do lombardu. Wierzcie mi bez żalu,
Ja stary dziadowina umarbym w szpitalu.
Ale żona i dzieci... bo o mnie już mniejsza,
Lecz ich przecie od śmierci ratować przystoi.
A więc przychodzę do was towarzysze moi,
Widzę bowiem, że dola wasza zamożniejsza—
Niech dla mnie bezrobocia prawo się rozluźni,
I pozwólcie staremu powrócić do kuźni.
A umyślnie was proszę o to, żeby potem
Nie chciał kto za niewiarę obrzucać mnie błotem,
I żebyście nie byli sami do mnie z żalem.
Patrzcie mam siwe włosy, a spalone ręce,
Bo lat przeszło czterdzieści jestem już kowalem;
Niechże resztę sił moich rzemiosłu poświęcę.
Żebrać chciałem, nie mogłem—trudno człek nic
(pote.m
Kiedy się całe życie wywijało młotem,

I na ezole te bruzdy wyryło podłużne,
 Twarda dłoń się wyciągnąć nie chce po jałmużnę.
 I słowa prośby z ust by już się nie wywiodły...
 A więc, gwoli umowie, co u nas zapadła,
 Przychodzę tu... pozwólcie wrócić do kowadła...
 Wszakże to was nie gniewa?

Milczeli grobowo,

Ale jeden postąpił i rzekł do mnie:

„Podły!”

Uczułem zimno w sercu, a w głowie gorąco
 I spojrzałem na człeka co wyrzekł to słowo:
 Był to młodzik wybladły od ciągłej hulanki,
 Któremu tylko w głowie bale i kochanki.
 I spoglądał się na mnie wciąż wyzywająco,
 A inni znowu milcząc na uboczu stali,
 Żem słyszał jak mi w piersiach serce młotem wali.
 Schwyciłem się za głowę więc... i z drżeniem w głosie
 Rzekłem im:

Niechajże się już wszystko dokona;

Nie pójdę—mogą umrzeć wnuczęta i żona.
 Ale ty mi zdasz sprawę z słów swoich młokosie!
 Rozprawimy się z sobą, już klamka zapadła,
 Tu zaraz... bronią będzie nam młot od kowadła,
 Bo on jest zawsze dla nas narzędziem gotowem—
 Wy będziecie świadkami w koło nas tak stali,

A ty, co siwe włosy śmiesz znieważać słowem,
 Obnaż się, masz młot oto, pluń w ręce i dalej!...
 Stos starego żelastwa leżał na podłodze,
 A w nim dwa młoty ciężkie, ordzewiałe srodze.
 Podniosłem je i cięższy rzuciłem pod nogi
 Młodemu, on go podjął, a wyraz złowrogi
 Patrzył mu z oczów, chociaż jakby do uśmiechu.
 Krzywił usta i mówił:

— No stary kolego,

Nie żartuj!...

Ale ja już wprost szedłem na niego.

Patrząc mu oko w oko, i nawet myśl grzechu,
 Nie przeszła mi przez głowę w straszną chwilę ową
 Kiedym tym ciężkim młotem wywijał nad głową.
 A tamci spoglądali w jedną kupę zwarci....
 On zwrócił ku mnie z trwogą spojrzenie pijane,
 Spojrzenie psa nędznego, kiedy pan go karcie—
 Zbladł okropnie i cofnął się wraz aż pod ścianę....
 Lecz już było zapóźno.... jakaś dziwna siła
 Oczy moje oponą krwawą przysłoniła,
 Wzniósłem młot—on z strzaskaną głową padł na
 (ziemię....

Teraz wiem jakie na mnie zbrodni cięży brzemie;
 Przyznaje, własnowolniem spełnił ten uczynek,
 I to krwawe morderstwo, a nie pojedynek.

On leżał przy mych nogach, krew z mózgiem po-
(dłogę

Broczyła, a jam cierpiał męki Kainowe....

Chciałem iść, wówczas tamci zabiegli mi drogę,

Ale ich odtrąciłem i podniósłszy głowę

Rzekłem im: „Idźcie, wiem już co czynić przystoi”.

Zrozumieli, a wówczas zdjąłem czapkę z głowy,

I rzekłem jeszcze do nich: jam na śmierć gotowy

Dajcie co dla sierotek i dla żony mojej.

Kwota dziesięciu franków razem się zebrała,

A jam poszedł do sądu i oto rzecz cała.

Wszystko opowiedziałem jasno i dokładnie,

Teraz bez adwokatów już się obejdziecie.

Chciałem wam tylko dowieść, że to tak na świecie,

Zbrodnia ze zbiegu nieszczęść smutnego wypadnie,

Kiedy się na człowieka zwałą całą zgrają.

Żona zmarła w szpitalu, tam dogorywają,

I wnuczęta; niech Bóg już swą łaską ich krzepi....

Skażcie mnie na kajdany.... przyjmę je z ochotą....

Choćby niewinnienie nawet, mniejsza o to.....

A jeżeli mnie posłecie na szafot—tem lepiej!

Objaśniamy, że bezrobocie (greve), jest to zмова robotników przeciwko fabrykantom lub przemysłowcom, mająca za cel wymożenie podwyższenia płacy dzienniej, albo zmniejszenia liczby godzin roboczych. W takich razach wszyscy naraz robotnicy opuszczają warsztaty, zobo-

wiązując się pomiędzy sobą do wytrwania w takim postanowieniu, dopóki żądaniom ich nie stanie się zadość.

Bezrobocia wzięły swój początek w Anglii, gdzie stowarzyszenia robotników, rozporządzając znacznymi, powstałymi ze składek członków kapitałami, są w możności przez pewien czas częściowo przynajmniej zaradzić brakowi pieniężnemu, który wstrzymanie się od pracy, a więc i od zarobku powoduje. W krótkim czasie bezrobocia rozszerzyły się na całym zachodzie. Francuscy robotnicy w prędko przyswoili je sobie i w ostatnich czasach uciekali się bardzo często do tego heroicznego środka. Działo się to nawet podczas ostatnich wypadków wyborowych, skutkiem propagandy stronnictwa krańcowego. Takie powstrzymanie rąk od pracy mogło spowodować, jeżeli nie łatwość, to przynajmniej groźbę zaburzeń ulicznych, a stawało się bardzo dogodnym dla tych, którzy tej groźby używali za środek do przeprowadzenia celów swoich.

Było to nadużyciem, i tak też zdrowa część ludności uważała ciągle mnożące się bezrobocia, częstokroć żadnymi słusznymi przyczynami nie powodowane, jak np. bezrobocie subjektów handlowych, które w tych czasach tyle hałasu w Paryżu narobiło. Dzienniki umiarkowane liberalne występowały przeciwko nieusprawiedliwionym często wymaganiom, które środek dobry i skuteczny w zasadzie przekształcały na dowolne mącenie najżywotniejszych praw przemysłu i handlu.

Myśl więc silnego oddziaływania przeciwko tej, coraz bardziej szerzącej się anarchji robotniczej spowodowała pana F. Coppée, jednego z najbardziej utalentowanych młodych poetów francuskich, do napisania poematu, pod tytułem: „Bezrobocie kowali”.

Poemat ten sięga w samą głębię tej kwestji, jednej może z najżywotniejszych dziś we Francji. *Bezrobocie kowali*, wypowiedziane na przedstawieniu benefisowem pani Lary Bernhardt, przez P. Beauvallet, b. artystę komedji francuskiej, wywarło na publiczności bardzo silne wrażenie. Zaraz potem Odeon przyswoił sobie ten nowy rodzaj dramatu opowiedzianego i Beauvallet z ciągle rosnącym powodzeniem wypowiada obecnie co wieczór „Bezrobocie kowali”, przed natłoczoną w sali publicznością.

TESTAMENT PSA.

Powieść turecka.

.... Więc posłuchajcie czarni i biali
Co ku nauce mówi Kizr Ali.

Hassan miał w Brussie ogród rozległy
I dom w ogrodzie z palonej cegły,
W domie bogactwa co zmieści,
Harem, eunucha co u drzwi drzemie
I cztery żony piękne w haremie
I cudnych koni trzydzieści.

Próżno wonieją róże w ogrodzie,
Próżno tarasy nęcą o chłodzie
Spokojem ciała i ducha,
Próżno się eunuch uśmiecha chytrze
Wiodąc Zulejkę co gra na cytrze,
Hassan nie widzi, nie słucha.

I tylko chodzi z zwieszoną głową
Bo smutek duszę struł Hassanową,
Smutek i tęskność bez miary;
Bo żal powiedzieć, dni temu cztery
Zdechł mu przyjaciel wierny i szczerzy
Melik, pies żółty z Guzzary.

Więc niewolników woła i strażę,
I dół w ogrodzie wykopać każe
Pod cieniem palmy liściastej,
W dole Melika złożono zwłoki
I ustawiono nad nim wysoki
Głaz biały, czworograniasty.

Na głazie czarne wyrznięto liście,
Różne zakręty lśniące złociście
Sprzęgłe linjami modremi,
A w środku napis: „Tu pogrzebana
Roskosz Hassana, duma Hassana,
I to, co kochał na ziemi”.

Smutny jest świat ten, bo na nim zgoła
Nikt się od wroga ustrzedz nie zdoła,
Choćby jak piórko był lekki
Z grzechów, choćby jak mułłowie święci
Cały alkoran mówił z pamięci,
I co rok chodził do Mekki.

Hassan miał wrogów którzy się zwali
Jeden Kajreddyn, a drugi Ali,
Więc gdy ich dojdzie wieść owa
O psa pogrzebie, wraz obaj biegą
Do stóp rozjemcy wiernych Kadego
I w te odezwą się słowa:

„Padyszachskiego skro jasna oka!
Wbrew wszystkim prawom świętym proroka,
Których rostopność twa strzeże,
Hassan psa zwłoki uczcił w pogrzebie
Więc słuszną karę ściągnął na siebie,
Bo pies nieczyste jest zwierzę”.

„Według praw zbrodnia będzie skarana”,
Rzekł Kady, i wraz śle do Hassana
Czausza z surowym rozkazem:
By dla większego wstydu i sromu,
Pętami ręce związał mu w domu
I wraz z nim stawił się razem.

Więc gdy się zjawił drżący i blady,
Splunąwszy trzykroć na ziemię Kady
Łysnął oczyma srogimi.

„Jak śmiałeś, rzeczce, świata zakało!
Kazać aby psa nieczyste ciało
W świętej znalazło grób ziemi?”

A Hassan na to: „Wiernych ozdobo!
Kornie w proch czołem biję przed tobą,
Mądrości twojej hołd niosę,
I wszystkie twoje wielebne słowa
W których rostopność tkwi Allachowa
Czczę jako z niebios łask rosę.

Zbrodnia o którą winić mnie mogą,
Byłaby iście straszną i srogą
I sambym wyznał ją szczerze,
Jeźliby pies ów, w kamienną trumnie,
W sadzie pod palmą pogrzeban u mnie,
Jak każde inne był zwierzę.

Ale naszego wola proroka,
Święte natchnienie jemu z wysoka
W przedśmiertnej przesłała dobie;
I nauczony natchnieniem onem,
Ostatnią wolę podał przed skonem
I kazał wręczyć ją tobie.

„Gdy mnie już resztki życia odbiegą
„Idź, rzekł, do chluby wiernych Kadego,
„Złożywszy zwłoki me w ziemi,
„Powiedz, że hołd mój przesyłam szczerzy,
„I oddaj złota te kiesy cztery
„By rozporządzać chciał niemi”.

Więc pokłon tobie twój sługa czyni,
Te cztery kiesy są oto w skrzyni,
Przykryte perskim kobiercem;
Psa pochowałem w ziemi przykładnie,
A jaki bądź twój wyrok zapadnie
Pokornem przyjmę go sercem.

A Kady na to: „O moszleminie!
Pies to był mądry w myśli i czynie,
Nie psie należy mu miano —
A zaś Kajreddyn niecny i Ali,
Co tak niegodnie mnie okłamali,
Sto kijów w pięty dostaną”.



All the

...



Noc Świętojńska.

OCZEKIWANIE.

Wicher gra jak na organie,
Białe snują się zamiecie,
Nie ma większej troski w świecie,
Nad oczekiwanie!

Choć w zawiei nie znać słońca,
Codzień wychodzę na ganek,
Tam przestoję cały ranek,
Wyczekuję gońca.

W wieczór nie idę do tańca,
Mróz wzorzysty ścieram z szyby,
I na gwiazdy patrzę niby,
A czekam posłańca.

* * *

Szeleściły zżółkłe liście,
Gdyśmy z bólu skamieniali
Na długo się rozstawali,
Ale nie wieczyście!

Pobłogosław jemu Boże,
 Powodzenie daj mu z chwałą —
 A co niegdyś się nie stało,
 Kiedys stać się może....

Nie zapomnę owój chwili:
 Od bledości, tak był biały!
 Ani łyżyśmy nie zronili,
 Łży później tryskały!

Na jego męskiej prawicy
 Kręcił się sokół ognisty.
 „Przez niego”, rzekł smutno-licy,
 „Będę ci słał listy!”

Jam mu ufnie uwierzyła!
 Na wronego wsiadł konika,
 Z ganku widziałam jak znika...
 Znikła moja siła.

* * *

Czy zaklął czarownik jaki?
 Czy obraziłam anioła?
 Przelatują wszystkie ptaki,
 Wszystkie, prócz sokoła!

Wiem że pisał do przyjaciół;
 Tylko o mnie zapomina!

Czy się w żalu gorzkim zaciął?

Smutnaż ja dziewczyna.

Za cóż na mnie mścić się w gniewie?

Byłamże ja kiedy złudną?

Jednak milczy. Ach czyż nie wie

Jak to czekać trudno!

Cóż ja winna w winie losów?

Niebo dzieli nas niezłomnie.

Niech nie pisze do niebiosów,

Lecz na ziemi, do mnie!

Ach niech pisze i do nieba!

Może wolę jego zmieni.

Wiele modlić się tym trzeba,

Co są rozłączeni.

Jak gromnica smutnie pałam,

Chmury przebijam oczyma.

Tyle niedziel przeczekałam,

A sokoła niéma!

* * *

Co tak leci? To nie sokół,

Tylko jakieś orle młode,

Czarnem okiem świecąc w okół,

Płynie przez pogodę.

Szczęśne skrzydlate wędrowce!
Ach on właśnie leci w strony,
Gdzie odjeżdżał przez manowce,
Jego konik wrony.

Niech cię orle, gwiazdy strzegą!
Płowe pióra masz jak złoto.
Zlituj się nad mą tęsknotą
Leć prosto do niego!

Poleć i powiedz mu szczerze:
Jak ja czekam niecierpliwie,
Jak się lękam, jak się dziwię,
I wątpię i wierzę.

Mój orzełek skinał główką —
Spokojniejsza już zostanę,
On poniesie moje słówko,
Choć nie w list wpisane.

* *
*

Teraz, poczekam roztropnie,
Wezmę igłę, stłumię trwogi.
Wiem, że trzeba z dobę drogi,
Nim ptak celu dopnie.

* *
*

Teraz już bliżuchno końca:
On wziął piórko, kręśli słowa:
Wiąże się wstążka różowa.
Dzień drogi dla gońca.

No — teraz już dość czekania.
Dni mi dłuższe od stuleci.
Co się tak po chmurach śłania?
Sokół z nieba leci!

Otwierajmy mu okienko,
Z węzła uwolnijmy szyję....
Przewiązany wstążką cienką
Biały liść się wije.

Dawaj co miłość przysyła!
Niech na listku usta złoże —
A Ty wybacz dobry Boże:
Jam o nim wątpiła!...

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

Romans do śpiewu przy towarzyszeniu violi.

26 Czerwca 1869 r.

Słowik.

Królowo moja! Rózo jedyna!
Wejrzyj ku niebu: oto godzina,
W której się ciemność ze dniem przesili.
Ach! czy pamiętasz? podobnej nocy,
Jak się przesilał nasz los sierocy,
Kiedy to jeszcze ludźmi-śmy byli?

Róza.

Czy ją pamiętam? On o to pytał
Toż kropla rosy, w kwiecie ukryta,
Może od zmroku przetrwać do rana.
Czyż łza miłości nie wytrwa dłużej?
Chociażbym kwitła do setnej wiosny,
Téj świętojańskiej nocy żalósnej
Nic nie wygładzi w sercu twéj róży.

Słowik.

Pomnę... od świtu szedłem daleko;
Ciagle nad wodą, nad naszą rzeką,

Gdzie dziewy miały los badać kwiatem.
Może tam ujrę moję dziewicę?
Może, dumalem, wianek jój chwycę?
Wszak miłość, mówią, rządzi tym światem.

Zkąd takie myśli biegły przedemną?
Wszak jam nie wiedział żeś mi wzajemną.
Prawdziwa miłość dziwnie nieśmiała!
Jam tylko wiedział, że pan bogaty
Do twój rodziny posyłał swaty;
Dom twój go witał, — a tyś milczała.

Jam był ubogi; za skarb jedyny
Nosilem serce chciwe na czyny,
Rzewnie namiętne, jak śpiew słowiczy,
I jakąś jeszcze siłę nieznaną,
Którój mi wówczas pojąć nie dano;
Jam świętojańskię nie znał zdobyczy!

Cały dzień błądząc, zwolna widziałem,
Jak tłum nadpływał krasnym nawalem.
Wianek za wiankiem fruwał koleją.
Choć nie mówiłaś czy przyjdiesz z wieńcem
Choć już się zachód oblał rumieńcem,
Jam czekał jeszcze; — miłość.... nadzieją! —
W końcu zabłysłaś!

Róża.

I ja od rana,
Wysłam do lasu, wysłam splakana;
Tysiąc się kwiatów prosiło w lesie,
Lecz ja zoczyłam krzak dzikiej róży,
I już nie chciałam wybierać dłużej;—
Może mi róża szczęście przyniesie.

Wpół od radości, a wpół od gniewu,
Poobrywałam cały kwiat z krzewu,
Plotłam rękami, zaklełam łzami.
Niechże raz jeden, mówiłam sobie,
Z okrutnym losem tę próbę zrobię;
Wszak los nie człowiek, on nie omami.

Przebacz.... mnie samą wstyd dziś przenika;
Ja ciebie brałam za obłudnika!
Że się twe serce ku memu skłania,
Wiedziałam,—dziewczę zawsze dostrzeże....
Ale wątpiłam czy kochasz szczerze?
Wszak nie słyszałam z twych ust wyznania!

Jeżeli jeszcze, rzekłam stroskana,
Nie przeczuł w wilję świętego Jana,
Że mię z różami spotka na moście,
Jeżli za niemi w łódkę nie skoczy,
Zamrozę serce, wyjaśnię oczy;
Niech gody huczą, niech jadą goście.

Ach! bo siérocie, wyrok rodziny
 Jutro zaznaczył już zaręczyny
 Z bogaczem zimnym jak senna mara.
 Już nikt nie zważał na me zwlekanie,
 A ja wierzyłam, że się coś stanie.
 Co nas połączy:— miłość, to wiara.

Dopóki w lesie, byłam tak śmiała;
 Ale gdy w tłumie, jakżem truchłała...
 Róże pod białą kryłam zasłoną.
 Aby swój wianek puścić na fale
 Tak w obec ludzi, potrzeba wcale
 Nie mieć miłości, lub mieć szaloną.

Mnie się zdawało, że wszystkie oczy
 Na mnie zwrócone, w serca przezroczy,
 Mą tajemnicę śledzą ciekawie;
 A gdy ujrzałam jeszcze nad wodą,
 Tyle równiecznie pysznych uroda,
 Jak ja, pytałam, przed nim się stawie?

Słowik.

Czyż ja prócz ciebie widziałem kogo?
 Kiedy wschodziłaś płonąca trwoga,
 To jakby na raz dwa słońca błysły!
 Gdy wianek wodnej rzuciłaś tęczy,
 Pytałem, czemu ten lud nie kłęczy?
 Tyś mi się zdała boginią Wisły.

Skoczyłem w czółno, porwałem wiosło,
Jak myśl pędziłem, serce mię niosło.
Już, już go chwytam... los chciał inaczej!
Wianek jak senne pierzchał złudzenie,
Uciekł i przypadł w morskie bezdenie,
A ja... spojrziałem w morze rospaczy.

Czółno puściłem na wolę fali,
Leżąc jak martwy.—U brzegu w dali
Dogorywały ognie Sobótki,
Jak szczęścia mego wypalenisko;
Noc wiała żarem,—las kładł się nizko;
Czasem kiść kwiatu spadła do łódki.

Raz paproć moje musnęła głowę...
Dotknięcie lekkie, a piorunowe!—
Wszak to dziś kwitnie ów kwiat paproci,
Co ludzi darzy oczy takiemi,
Że widzą skarby zakłete w ziemi?
Znajdę! On czarę dni mych wyzłoci!
I ja się stanę jak król bogaty,
Mojój królowej ślać będę swaty,
Poślę obrączkę, odbiorę wianek.

Wybiegłem z łódki. Choć na kraj świata,
Pójdę go szukać przez dni i lata,
Jak tylko szukać umie kochanek.

Ścieżką robaczek szedł cichuteczko,
 Ze świętojańską swą latareczką,
 Nabłogosławić go się nie mogę!
 On mię prowadził wiernem żarzewiem.
 Jak szliśmy długo? gdzie szliśmy? nie wiem.
 Wiem, że do kwiatu pokazał drogę.
 Ach, i znalazłem! Ale cóż? nie to
 Czego szukałem. Skarb to bez granic,
 Lecz między ludźmi nie zda się na nic.
 Jam przez cierpienie został—poetą.

I gdy wróciłem z puszczy do świata,
 Nikt mię nie poznał; dusza skrzydlata
 Biła się we mnie, jak ptaszę w burzy.
 Trony na ziemi, gwiazdy na niebie,
 Miałem dla wszystkich,—oprócz dla siebie.
 Bo téż i żyć już nie chciałem dłużej.
 Nie miałem komu śpiewać na ziemi,
 Jam cię nie znalazł między żywemi,
 Znalazłem grób twój,—przy nim krzak róży.

Róża.

Gdyś z łódką zniknął, stałam zmartwiała,
 Łudząc się jeszcze, że sen mię łudzi.
 Już mię nie trwożył dziwny wzrok ludzi.
 Tłum się rozpląnął, — jam jeszcze stała,
 Aż przyszli krewni, pod ręce wzięli;

Z rana mię całą ubrano w bieli,
Zaręczynowy pierścień włożono.
Ja ani mdlałam, ani płakałam;
Czułam, że dziwnym rumieńcem pałam;
Płomień mi w czoło wrastał koroną.

Od owój nocy wiedłam tajemnie.
Wszyscy płakali, patrzyli we mnie,
Nawet on płakał nad narzeczoną.

Nie długo potem leżałam w grobie,
Chciałam natenczas pomyśleć sobie
O wielkim Bogu, o jasnym niebie.
Chciałam — nie mogłam.... ciągle w oddali
Widziałam wianek na zdradnej fali,
Widziałam tylko róże i ciebie!

A w grobie coraz zimniej i czarniej...
Aż Bóg położył kres tej męczarni.
Do grobu mego anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą u czoła, co się rozplania
Różowo, (pewnie anioł kochania).

„Kto, wyrzekł, umrze z ziemskiej miłości,
Nie godzien nieba, lecz godzien raj...
Wrośnijże w ziemię, serce różane,
Aż samo nieba zechcesz w zamianę.”

Rzekł, jam się różą zbudziła w gaju,
 Była noc — czyste jak łza niebiosy.
 Wypiłam chciwie kropelkę rosy,
 Czułam, że dziwnym rumieńcem pałam.
 Dźwięk brylantowy sypnął się z drzewa....
 Patrzę, gdzie jestem? słucham, kto śpiewa?
 Tak, jestem w raju! twój głos poznałam!...

Słowik.

Jam dni przepędzał przy twoim grobie,
 Pieśnią cię wołał, płakał po tobie.
 Bywa, że słowik śpiewa bez końca,
 Aż się zaśpiewa na śmierć. Tak we mnie
 Rana tęsknoty rosła tajemnie.
 Aż raz pastuszek, o wschodzie słońca,
 Znalazł me zwłoki. Tłum zszedł się ku mnie.
 Kładziono wieńce na mojej trumnie,
 I wszystko zcichło.—Ja leżąc w grobie,
 Chciałem zbudować pieśń o wawrzynach,
 Wielkich nieszczęściach i wielkich czynach,
 Pieśń się składała zawsze o tobie.

Lecz była smutna;—bo choć umarły,
 Jeszcze się moje rany nie zwarły.

Aż też i do mnie anioł zszedł w gości,
 Z gwiazdą błękitną, co rozpromienia
 Sam grób, (zapewnie anioł natchnienia).

„Kto, rzekł, był śpiewcą ziemskiej miłości,
 Nie godzien nieba, lecz godzien raj.
 Śpiewajże ziemię, serce splakane,
 Aż hymnów nieba zechcesz w zamianę.”

Rzekł,— jam się zbudził słowikiem w gaju.
 Szczęsny, kto skrzydłem raz pierwszy wzlecił!
 O skrzydłach wiecznie marzą poeci.
 Jam je miał;— księżyc błyszczał po burzy;
 Mnie wciąż bolało serce splakane.
 Aż oto... balsam padł mi na ranę;
 Tem pełniej żyłem, im padał dłużej.
 Zkądże przywionął prąd aromatu?
 Patrzę: zapewne z bliskiego kwiatu.
 Poznałem różę i ciebie w róży!

Róża.

Wieszczu mój, powiedz, czyby nie trzeba
 Już nam się z raję wybrać do nieba?
 Mnie ztąd nie spieszno, ale się boję,
 Czy nie obrażą się archanieli,
 Żeśmy tak długo ich zapomnieli?

Słowik.

Różyczko moja! natchnienie moje!
 Zkąd ci ta troska? Czy niepokoje
 Są niewieściego serca potrzebą?...

I do mnie anioł przemawiał w grobie,
A jam się na to uśmiechnął w sobie:
Kto z nas dwóch lepiej wie gdzie jest niebo?

Człowiek zna więcej niż aniołowie,
Bo zna cierpienie. Wierz co ci powie
Serce, ta wieszczba słowiczogłosa:
Niebo nie przy nas, lecz w nas się tworzy.
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożej
Miłość z poezją, tam są niebiosy.

„TY PÓJDZIESZ GÓRĄ, JA PÓJDE DOLINĄ”.

9 Września 1869 r.

Księgi mówiły, ludzie mi mówili,
Że wszystko myłne, lecz jedno, jedyne
Przecucie serca nigdy nie omyli.
Ja uwierzyłam w tę dobrą nowinę,
I życie lekko niosłam od téj chwili,
Jak dziecię wierzy na słowo matczyne.
Aż czas, co wszystko rwie niepostrzeżenie,
I na téj wierze napisał: *Złudzenie*.

Znałam ich dwoje; ich gwiazdy w błękicie
Świeciły blisko, jak dwoje ócz świeci.
Za to ich ścieżki tak różnie szły w życie,
Że się nie mogli wśród krętej dróg sieci,
Ni jawnie spotkać, ni dopatrzeć skrycie.
Lecz mój wzrok (czegoż nie dojrzą poeci?)
Obie ich drogi widział jednocześnie;
Gdzie? już nie pomnę, — na jawie, czy we śnie?



Ty pójdiesz górą, a ja dolinę.

Ona szła górą, a on szedł doliną.
W tęczach płynęła po obłocznej bieli.
W puszczych jarach łamał się z lawiną.
Oboje uśmiech i hart jeden mieli.
A ja pytałam, czy zawsze się miną?
Skarżyłam życie, dla czego ich dzieli,
Kiedy ich gwiazdy tak blizkie na niebie,
I jak dwie gwiazdy podobni do siebie?

Ach! wyście jednak nieraz się przeculi!
Lecz kształt przecucia chodził w marzeń szacie.
Gdyście z osobna swe rojenia snuli,
Ideał wzajem brał wasze postacie.
A wy pytając, czy na ziemskiej kuli,
Czy aż na innych go światach spotkacie,
Szlście samotni, zatęsknieni w tłumie,
Co chłód wasz ganił i dziwił się dumie.

Aż przyszła chwila (jakby dziś ją pomnę),
Kiedy jej ścieżka, lodowcem zepchnięta,
Z grozy chmur zbiegła nad poniki skromne,
Gdy jego ścieżka, schwycona jak w pęta,
Przez nurt i ściany przepaści niezłomne,
Na stok wybiegła, jako piorun kręta,
I na wół góry zeszły się ich drogi,
I objawili się sobie, jak bogi.

Słowa zamienić jeszcze nie zdążyli,
 Już głos w nich szepnął: „Wszak to on!” — „To ona!”
 A ja szepnęłam: „Jeżeli w jakiej chwili
 „To w tej zaiste, przyszłość mię przekona,
 „Czy serce pierwszym przecuciem nie myli?”
 A drżąca byłam, cała zapatrzona,
 Jakby w mą własną, w przyszłość owęj pary.
 Ach! mnie chodziło o klejnot méj wiary!

Miejscem spotkania była górską łączka;
 Eden małeńki, lecz w urok bogaty.
 Na wzgórzach w koło zgiętych jak obręczka,
 Las go ogradzał iglastemi kraty;
 Wązki wodospad, jak perłowa sprzączka
 Przepinał razem skały, las i kwiaty,
 Bo łąka była kwiatami nabita,
 Jak dusza, kiedy raz pierwszy rozkwita.

Podczas gdy wzrok mój błędził po tej hali,
 Oni w rozmowie stłumionój, lecz szybkiej,
 Całą swą przeszłość już wypowiedali;
 I jakby razem chowani z kolébki,
 Szli zwolna, brodząc w ziół i kwiatów fali;
 Tak dwa łabędzie toczą pochód gibki.—
 Czasem stanęli wśród skał, by z uśmiechem
 Wzajem swe imie wywoływać echem.

Aż doszli źródła. Na rozłomie głazu.
Siedli; on zrywał różowe jagody,
I na listeczku jój przynosił.—Zrazu
Wzrok ich był trwożny, tylko w szybie wody
Wzajem szukali swojego obrazu;
Nagle spojrzeli, ruchem dziwnej zgody,
Wyżej, nie w źródło, co ze skał się toczy.
Lecz w źródło czarów i łez, w żywe oczy.

Od téj się chwili stali jacyś inni.
Nad zagadkami życia zadumani,
Jako starcowie, a w życiu dziecinni.
Z prostotą ufni, choć jeszcze nieznani,
Płomienni myślą, a sercem niewinni.—
Jak zawieszeni w pośród dwóch otchłani,
Stali na dziwnem międzymorzu owem,
Gdzie miłość wszystkiem już mówi, prócz słowem.

Łzą, co zrenicę przemienia na djament,
Albo uśmiechem, co usta w kwiat zmienia;
Tą grą oblicza, co ma jak firmament
Gwiazdy i burze, słońca i zaćmienia;
I tą grą ruchów, co jak fali zamęt,
Zdradza bijące na jój dnie wzruszenia;
I przelotami owéj nagléj ciszy,
Gdzie sam duch milczy, a milczenie słyszy.

To czas przedburza.—Bywa, że w przedburze
 Wichher się zrywa i znów się pokłania.
 W sercu dwa prądy biegną jak w naturze,
 Jeden z nich woła: „Spuśćmy grom wyznania!”
 A drugi błaga: „Niech jeszcze przedłużę
 „Ten niewymowny dreszcz oczekiwania...” —
 I także bywa, że gdy wichher czeka,
 Burza omdleje, i przejdzie zdaleka.

Tak się tu stało. Ona, chcąc z obawą
 Oddalić chwilę stanowczą dramatu,
 Wzrokiem pytania w krąg powlokła łzawo:
 Ujrzała w dali kwiat z barwą szkarłatu.
 „Jak piękny!” rzekła: on, z niemą postawą
 Zachwytu, niby nie słyszał; aż kwiatu
 Tak się napała, że musiał, jak dziecię
 Od stóp jój powstać i pójść po jój kwiecie.

Przestrzenie w górach złudne są dla oka;
 Kwiat purpurowy zdawał się tak blisko,
 A drogę cięła szczelina głęboka.
 Tam on się puścił;—lecz i ona, ślizką
 Steczką, podbiegła w górę, i z wysoka
 Śmiała się, skryta za mszyste urwisko,
 Tą się pustotą mszcząc, że nie od razu
 Jój wszechwładnego usłuchał rozkazu.

Gdy ze szkarłatną powrócił zdobyczą,
Już jój nie było; stanął porażony.
Lecz się uśmiechnął zaraz tajemniczo...
Z za głazu dojrzał brzeżek jój zasłony.
Ręką pogroził z przekorną słodyczą
I chciał jój zabiedz od przeciwnéj strony,
By mu nie pierchła; krąg zakreslił chyży,
Lecz ona coraz uciekała wyżej.

Jak dwa motyle igrają na łące,
Jak się dwie rybki gonią przez odmęty,
Jak dwa skowronki w słońcu wirujące,
Tak oni, krążąc w skręty i rozkręty,
Głosem się tylko wiązali w rozłące.
Aż on, uporną jój ucieczką tknięty,
Nagle się wstrzymał, i siadłszy pod drzewem,
Ręce założył z udawanym gniewem.

Jak ptaszę patrzy z za prątków ciekawie,
Tak, zadziwiona milczeniem zbyt długiem,
Z gąszczu wyrzała w niepewnej postawie,
I już zielonym zestąpiła smugiem.
Wtedy on, mszcząc się w odwetowem prawie,
Zaczął uciekać po wybrzeżu drugiem.
I biegli równo, bliźcy siebie znowu,
Lecz rozdzieleni przecięciem parowu.

Czemuż nie miały piór nasze gołębie?
 Parów nie znacznie wąwozem się stawał,
 Potokiem toczył przez pomroczone głębie,
 Coraz tłumniejszy pni i złomów nawał;
 Brzegi rozszcepiał jak skrzydła jastrzębie,
 W ziemię się coraz przepaściściej wkrawał,
 Aż rozwarł paszczę i stał się otchłanią.
 Ach, gdyby sercem zarzucić most na nią!..

Oboje razem stanęli jak wryci.
 Ku łączce chcieli powrócić oboje,
 Ale kto szczęścia w pierwszy lot nie chwyci,
 Niech sobie powie: „Żegnaj szczęście moje!”
 Wspomnieniom brakło Arjadnowej nici.
 Skracając drogę, przeskakując zdroje,
 Sami nie wiedzą, w leśnym pół-przezroczu,
 Jak się i kiedy utracili z oczu?

Żeby też można przesłać im przestrozę:
 „Tędy!...” — Raz jeszcze oto się ujrzeli,
 Raz! Chciałam wołać, próbuje... nie moge!
 Świat marzeń, ludzi od poetów dzieli. —
 Ja sęp nastraszył i zmyliła drogę.
 On, przynęcony od jakowéjs bieli,
 Wśród skał zabłądził; zbiegł do wodospadu,
 Lecz do innego, — a jéj, ani śladu.

Odtąd się tylko tęsknemi wyrazy,
 Długiem hukaniem wabili wzajemnie.
 Głos przeleciawszy wśród nich kilka razy,
 Znikł, jaskiniami schłoniiony tajemnie.
 Zeszli do górskiej nie jednej oazy,
 Lecz nie do tamtej! — Aż zwolna i we mnie,
 Zaczęło serce zapytywać z trwogą,
 Czy jeszcze kiedy odszukać się mogą.

Przeklęty kwiatku! Blizki a daleki!
 Godło rozstania! Usłysz moją mowę:
 Oby do morza uniosły cię rzeki!
 Obyś rozpięty na łożu mumjowe,
 W żółtym zielniku spoczywał na wieki!
 Niech wina spadnie na twą krwawą głowę!
 Bo tej pewności nic we mnie nie zmieni,
 Że od gwiazd byli sobie przeznaczeni.

„Teraz-to, rzekłam, dopiero zobaczę
 „Nieukojone niczem niepokoję.
 „Będąż to jęki! Będąż to rozpaczę!
 „Samem przeczuciem już cierpię za dwoje.
 „On się zabije, ona się zapłacze,
 „I z żalu skona. Spojrzec się tam boję...”
 I długo oczów nie wzniosłam struchlała;—
 Aż gdy podniosłam.... ach! cóżem ujrzała?

Idą spokojnie, idą obojętnie,
Jakby starcowie, czy raczej jak dzieci.
Może ich oczy mgłą zachodzą smętnie,
Ale w tych oczach żadna łza nie świeci.
Może drga boleść w pędzlem serca tętnie,
Lecz jój nie dojrzy nikt, nawet poeci.
Życie nią książka. — Próżna trwoga cała!
Ni on się zabił, ni ona skołała.

Niemość rospaczy, — tak sądziłam zrazu.
Raz też istotnie, gdy przy małym zdroju
Siadła (jak ówdziel!) na rozłomie głazu,
Zajrzała w wodę wzrokiem niepokoju,
Jakby szukała czyjgoś obrazu,
I ust mąsnięciem tknęła liść powoju.
Lecz wnet po czole przesunęła rękę,
I poszła, nucąc pasterską piosenkę.

On, raz napotkał u wiszaru drogi,
Krzak obsypany w liście purpurowe;
Widząc je, rzucił krzyk drapieźnie srogi,
Obu rękami chwycił się za głowę,
Obrywał kwiaty, ciskał je pod nogi,
Deptał, sam z sobą wiódł gniewną rozmowę,
Aż... dał znak ręką, jak na pośmiewisko,
I odszedł, nucąc piosenkę myśliwską.

Zwolna, podróżnych spotykać zaczęli,
 Wyszli na szersze gościńce żywota,
 Szli w tłumie różni, nieledwie weseli,
 Do celów nowych wrzała w nich ochota;
 Śmieli się nawet, — tak, oni się śmieli!
 Ja, wciąż pytając, gdzie żal, gdzie tęsknota?
 Zaczęłam wątpić w duchowej jesieni,
 Czy kiedy byli sobie przeznaczeni?

W szeregu imion, jaki tłumy gwarzą,
 Nieraz o jednym przed drugim mówiono;
 Żebyż zmieszana zdradzili się twarzą!
 Żebyż wzruszenie podniosło im łono! —
 Ja z oburzeniem, w którym łązy się waża,
 Spojrzałam w niebo: byłam przeświadczoną,
 Że gdy ich serca tak dalekie siebie,
 Już się i gwiazdy rozeszły na niebie.

Nie! Jedna z drugą koło w kole toczy,
 Jakby w objęcia brały się wzajemnie.
 Czemuż tam jasno, kiedy tu się mroczy?
 Tysiące pytań zahuczały we mnie.
 Gwiazdy! ja kłamstwo wam rzuciłam w oczy;
 Gwiazdy się tylko uśmiechnęły ze mnie,
 I rzekły: „Serce uspokój w błękiecie.
 „Czyż jednym życiem człowiek spełnia życie?

„Wy, zadziwieni sceny wyrwanemi,
„Możecie sądzić o boskich dramatach?
„Miłość prologiem zaczęta na ziemi,
„Może na innych rozegra się światach.
„Wam czucia wędzną z kwiatami waszemi,
„Ale są światy o niezwiędłych kwiatach”.
Tak, widok nieba kojąc nieskończenie,
Z księgi mych myśli starł słowo: *Złudzenie*.

Szerszą się wiarą zapisała księga,
„Tak, zawołałam, przecucie nie myli,
„Tylko że dalej niż sądzimy sięga.
„Spokojni? Wiedzą, że choć się stracili,
„To nie na zawsze, i ztąd ich potęga.
„Kto raz się znalazł, ten się w danej chwili
„Odnajdzie, niebu wiadomym sposobem;
„Tylko pytanie, czy przed, czy za grobem?”

Z A W S Z E S A M.

(z Dramatu 1865 r.)

Oj miesiącu! Niechże ciębie
Z twoim smutkiem! Znam go, znam....
Tyś jest zawsze sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

Strun aż siedem w gęśli brzęczy,
W grodzie aż dwanaście bram,
Barw aż sto się mieni w tęczy,
A ja zawsze sam.

Dola z Troską razem stoją,
Każde Tu ma swoje Tam,
Nawet miecz ma pochwę swoją,
A ja zawsze sam!

Wszystko śmieje się do siebie,
Wszystko mówi „My” i „Nam”,
Tylko miesiąc sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

STANOWISKO KOBIETY.

ODA

OFIAROWANA

Konstancji Wodzińskiej.

18 luty 1870 r.

Pieśń zbrojna twem imieniem, brzmi silniej i czulej,
Chrześcjancko, co na drogach cnoty i boleści
Przedstawiasz nieskażony wzór duszy niewieściej.
—Oto przyszłość pod skrzydła przeszłości się tuli.

ODA.

Między słońcami dziejów, na niebiesiech ducha,
Nieobliczonym rozpędem komety,
Jawi się i zaćmiewa, iskrząca a głucha
Władza kobiety.

Gdy duch męski, chwyciwszy cugle trzeźwój myśli,
Jasno wytknąwszy cel, szranki i pole,
Elipsę toczy w przeznaczenia kole,
Duch niewiasty we mgłach kręśli
Nieścignioną parabolę.
Rzekłbyś, że skrzydła zdała na przypadku wołę,

Ale nie drżycie o nią, nie drżycie! I ona,
Ta dziwna, ta niezgadniona,
Ma swą drogę, nieugięcie
Wypisaną w firmamencie.

Tylko, że jak dla komety,
W jój obiegu są dwie mety,
Dwa ogniska, gwiazdy dwie,
Ta jak dzień, tamta jak noc,
Których wojująca moc,
Dwoma bieguny ją rwie.

To też pytać jój nie trzeba,
Czy gdziekolwiek krańce zna?

Kiedy dosięgnie nieba, to siódmego nieba.

Kiedy zstąpi do piekieł, to aż do ich dna.

Na ten widok, kogoż zdziwi
Sąd podwójny o niewieście?

Wszak wy mówicie sami, że jesteście
Przez nią szczęśliwi, przez nią nieszczęśliwi?

Prawo ją wiecznie stawia w drugim rzędzie,
A miłość stawia po nad wszystkie stopnie,—
Niech jawnie żąda, niczego nie dopnie,
Niech prosząc każe, a wszystko zdobędzie.

Jej ręce okute w pęta,
 A na jej włosach, korona.
 Przez wszystkie wiary wyklęta,
 Na wszystkich ołtarzach czczona..

Nauka je pomiędzy niższe twory strąca,
 Sztuka ją w ideału wieńczy aureolę.
 Kusicielka zbawczyni, branka królująca,
 Wąż u stóp, gwiazda na czole.

Wysłuchaj się w dramat dziejów, śledź ludów roz-
 (mowę,

Tam same głosy męskie wołają: „Żyjemy!”
 Tłum niewiast się przesuwa jak chór cieniów, niemy,
 Ledwie czasem w świat rzuci imię wyjątkowe,
 Co zaświadcza przez samą cześć i podziwianie,
 Że jest tylko wyjątkiem.

Gdyby niespodzianie,
 Postęp, ów jeździec apokaliptowy,
 Co pędzi wsiadłszy na czas,
 Surowo zapytał nas:

Cośmy przyniosły do dziejów budowy?
 Jakie stworzyły zakony?
 Jakie spisały ustawy?
 Gdzie pomniki naszej sławy?

Naszego geñjusz piony?
 Nasze dla wiedzy zdobycze?
 Nasza dla sztuk twórcza siła?

Ach lękam się zaprawdę... z wiekami się liczę,
 Zkąd mam zdobyć odpowiedź?...

Jużem ją zdobyła!

Ty którego niesie czas,
 Spójrz tylko przez łzę bożą,
 W dzieje tych co dzieje tworzą,
 A w ich sercach, znajdziesz ... nas!

— Jeździec uśmiechnął się ze mnie,
 Jak mędrzec się uśmiecha na dowcip dziecięcy.
 Spiał rumaka ostrogą i szepnął tajemnie:
 „Dla przeszłości, to dosyć; lecz postępcy chce więcej”.

Choć szept był cichy, echo po nim się rozstrzasło,
 Jakby w trzęsieniu ziemi, w jednej niewiast skardze.
 Skargo, ty precz odemnie! twem kwileniem gardzę,
 Lecz wiem, że skarga, to hasło.

Co się stało? jakby w mieście,
 Gdy uderzy spiż na trwogę,
 Tak nieme tłumy niewieście,
 Przemówiły... gwarną rzeszą
 Gdzieś się śpieszą...

Gdzie? Niepewne,—każdego pytają o drogę.

Wiek nasz! ty zwan będziesz wielkim kobiet wie-
(kiem!

Niewiasta się ozwała z żądaniem nieznanem:

Dotąd, aniołem była, lub szatanem,

Dzisiaj chce zostać człowiekiem.

Ach stójmy!... nim dotkniemy wrzeczędzów téj
(bramy,

Za którą chodzą duchy jasne, lub złowieszcze,

Chwilę... rozmyślmy się jeszcze,

Czy nie stracimy więcej niż zyskamy?

Nie czas ostrzegać! rwaniem niewstrzymanem,

Ci rwą się, co z czasem biega.

Więc idźmy, siostry! postęp nam hetmanem!

Tylko, — w sumieniu, królestwa Bożego

Strzeżmy, a wszystko będzie nam dodanem.





Objawienie się Muzy.

OBJAWIENIE SIĘ MUZY.

Wybrzeże Grecji. Po lewej stronie morze; nad niem brzeg skalisty.
Dalej góry oświetlone złotą i fioletową luną zachodzącego słońca.
Na pochyłości gór zwaliska świątyni. U brzegu uwiązana łódka.

Wchodzi Podróżny.

Po długich wędrowaniach, staje więc na ziemi,
Gdzie człowiek bogów zwołał i gdzie śmiał żyć
(z niemi.

Tu dusza, z codziennego letargu zbudzona,
Jakby w powietrzu piła eliksir młodości,
Porywa się i wita dawno znanych gości,
Bohaterów Plutarcha i mędrców Platona.

Przyjmij pokłon miłosny, ty marzeń mych celu,
Hellado, co jak bujne liście kapitelu
Wykwitłaś wszech-pięknością na dziejów kolumnie!

Choć w huraganie wieków zwiśły skrzydła twoje,
Choć tyle krwi zbryzgało twych szat białe zwoje,
Dziś jeszcze z sarkofagu uśmiechasz się ku mnie.

(Siada na odłame głazu).

Księga Pieśni — Zeszyt V.

Tu duch mój, wytrzeźwiony z szyderstwa, co tknęło
 Nasz wiek goryczy, może zrozumie przytomnie,
 Czego genjusz przeznaczeń spodziewa się po mnie?
 Wszak on każdemu daje do spełnienia dzieło.
 I niech się nikt nie żali, że mu życ przysłało
 W dniach gdy nie ma co czynić. Czyż chce, nieru-

(chomy,

Siąść u szczytów, jak niegdyś bogowie błękitni,
 I tylko w kataklizmach świata ciskać gromy?
 Życie może przeczekać!—Nieraz robić mało,
 Bywa trudniej niż wiele, trudniej, więc zaszczytniej.

I mnie, duchu przyszłości, rzucasz kartę białą!
 Czuję w sobie potęgę co rwą się do życia,
 Chcą stwarzać i budować. Lecz pierw, jak podróźny,
 Pragnąłem obiedz przeszłość sprawdzić jej odkrycia,
 Zwycięstwa i przegrane,—by w pracy napróźnej,
 Nie błądzić po manowcach, gdzie błądziło wielu,
 Nie gonić za skarbami które już zdobyto.

Jest przecie kres wahaniu. Podróż woła celu.
 Oto kraj, gdzie raz pierwszy została wryta,
 Pierwsza ustawa wiedzy: „Znaj samego siebie”,
 Kraj gdzie wieszcz, zanim sięgnął po laur epopei,
 Nim rozpiął skrzydła ody,—wzrok zatapiał w niebie
 I wzywał boskiej muzy.—I ja, w odyssei
 Mych dni, w ojczyźnie twojej, muzo! wzywam ciebie!

Oto trzymam tablicę życia marmurową;
 Muzo! powiedz mi, jakie wyryć na niej słowo?

*(Wśród zwalisk świątyni, ukazuje się postać Muzy, w powłóczystej
 białej szacie, w wieńcu z liści na głowie).*

Podróżny.

Bogi niebieskie! Cóż to za zjawienie?

Czy mgła się podniosła z morza

I jakąś myśl Fidyasza unosi w przestworza?

Czy posąg dawny, uśpiony na kwiatach,

Z pomiędzy ruin wstał niepostrzeżenie

I przyszedł zajrzeć na czatach,

Czy nowa nie wschodzi zorza?

(Chwila milczenia).

Ani mgła—ani posąg.—Zagadka nad siły.

Czy powietrze tych krain zwiéwa łuskę z oczu?

Czy gdzieś na drodze, pod skałą,

Węzeł zaplotłszy w warkoczu,

Czarodziejki Tessalji urok mi rzuciły,

Że mię szaleństwo piękna obląkało?

(Milczenie).

Szał czy zakłęcie,

Sny czyli cuda,

O niech się święci, niech zwodzi mnie święcie,

Błogosławiona uluda!

Nie śmiem odetchnąć, by się nie rozwiała...
 Chciałbym pójść bliżej, bliżej, a truchleje;
 Że z owem bliżej wszystko się rozwieje,
 Jak wszystkie cuda, jak wszystkie nadzieje!

(Muza zstępuje z wolna z pomiędzy zwalisk, schodzi na brzeg wyniosły i oparta o skałę, spogląda na morze).

Podróżny.

Tak, spływaj z wyzyn, wizjo moja biała!
 Zarysowaną na tle błękitu,
 W drżącym powietrzu unosi ją skała,
 Jak gdyby w nią zmartwychwstała
 Grecja cała!

Zbiegajcie się narody, klękniście z zachwytu!

Nie, tyś nie zwodną złudą wyobraźni,
 Widzę cię bliżej, a widzę wyraźniej.

O, gdyby jeszcze zechciała
 W tę stronę zwrócić oblicze!

.

Czemże tak cię to morze nęci tajemnicze?

Dzięki! Zwraca oblicze—ku mnie czoło skłania.

Ten wzrok! Spokojny jak gwiazda przyjaźni,

Ogarniający jak pożar kochania!...

Jakaś ty cicha, a jaka wspaniała,

Ruin królowo!

Ach, gdyby jeszcze przemówić zechciała....

Słowo!

Muza.

Wywołana, zstąpiłam.

Podróżny.

Przeze mnie wołana

Raczyłaś zstąpić? Dla mnie? O patrz, na kolana

Padam z modlitwą dziękczynną.

Żadna już mię od stóp twych nie oderwie siła,

Po widzeniu już tylko umrzeć się powinno.

.....

Ktoś ty jest, tajemnico z oczy bezdennemi?

Jam wywoływał muzę; tyżbyś muzą była?

Muza.

Taką nazwę śmiertelni dali mi na ziemi,—

Na innych światach noszę nazwę inną.

Podróżny.

Ale w jakimże ciebie wzywać mam zakłęcia?

Talja, Polimnja czy Klio;

Którą-że jesteś z dziewięciu,

Co wawrzyny na szczycie Helikonu wija?

Muza.

Więc i ty uwierzyłeś w podania zwodnicze,

Jakie gmin nagromadził przy stopniach méj wiary?

Ja, przez nieznanne wam czary,

Tak umiem zmieniać postać i oblicze,

Od gwiazd do kropli rosy spadam w jednej chwili,

Od tańca wodzonego przy fletni prostaczej,

Do łamania rąk w rozpacz;
 Od śmiechu, w którym dusza bierze rzut motyli,
 Do lwięj zadumy;
 Wszędzie tak się przierzucam, że zdumiały tłumy,
 Widząc mnie tylekrotną, wszechobecną w świecie,
 Rozłamały me imię zawiłkie.—A przecie
 Ja jedna jestem, zawsze byłam jedna,
 Jam jest poezja.

Podróżny.

Pozwól, niech w pokorze,
 Usta na kraju twojej szaty złożę,
 Usta te odtąd, w twój obronie śmiały,
 Będą fałsz gromić.—
 Jeżeli głos mój zjedna
 Twym prawdom jedno serce, dość na moję chwałę.
 Mów, jak mam odpowiadać, gdy mię pytać będą,
 Zkąd twój ród, gdzie kolébka, jakie twoje dzieje?
 Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,
 Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczej
 Był ci ojcem....

Ten uśmiech!... gdy muza się śmieje,
 Ach to jest uśmiech słodczy,
 Co tak dumna, że nawet gniewać się nie raczy.
 Inni od bóstw Olimpu twój ród wywodzili....

Muza.

Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy
 Kolébkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,
 Kto mię z Olimpu wywodzi.
 Czyliż Olimp mógł istnieć, póki mnie nie było?
 Wszyscy jego mieszkańcy, to bogowie młodzi,
 Przybysze, miałką obdarzeni siłą,
 Na których my, pierwotne stworzenia, olbrzymy,
 Jak na pacholę patrzymy.

Rody bogów się piętrzą nie na dniach ni latach,
 Lecz na milionach wieków. Ich przestraszne dzieje,
 Na których przypomnienie duch wemnie truchleje,
 Rozgrywały się dawno, na dalekich światach.
 Do was ledwo wieść o nich przywionęła chmurna.

Znacie wiek złoty Saturna?

Saturn młodszy od muzy. — Wiész jak gasł tajemnie,
 Uranus, gorącemi słońcami skrzydlaty?
 I ten młodszy. — Słyszałeś, jak niegdyś szalenie
 Kronos i Okeanos rozrywali światy?

I oni młodszy ode mnie.

Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:
 Noc, Chaos i Przeznaczenie.

Wnet ponich się w wieczności wążąc nieskończenie,
 Idą bieguny ducha, — to rodzice moje:
 Matką mi była Miłość, a ojcem Cierpienie.

Podróżny.

Matką ci była Miłość... a ojcem Cierpienie...
 Pozwól—niech myśli zbiorę — ja sam się rumienię,
 Ale pojąć nie mogę... przebac, wszak ja człowiek!
 Cierpienie! Czyż być może?... Ty, której oczyma
 Patrzy wieczna pogoda; ty, u której powiek
 Nigdy łza nie zawisła, znalazłbyś cierpienie?

Muza.

Czyż może być poezja, gdzie cierpienia niema?

Podróżny.

A miłość? Jeszcze przebac... pył mówi tak śmiało!
 Ty umiesz śpiewać miłość, z czarem, z niepokojem,
 Z siłą, w kastalskiem źródle sztuki wyczerpaną,
 Lecz nigdy w dziejach bogów, nigdy nie słyszano,
 Aby się objawiła żywa w sercu twojem?

Muza.

Ach, czyliż można śpiewać, czego się nie znało?

Podróżny.

Więc tybyś mogła kochać?...

(Chwila milczenia).

Już kochałaś może?

Muza.

Już i jeszcze.—

Odwieczna, tragiczna to powieść.
 Na jej odgłos umarli wzdrygają się w grobie,

W niej spoczęły najgłębsze tajemnice boże;
Tylko moim wybrancom, kiedy chcę im dowieść,
Że są wybrani, moje opowiadam dzieje.

Opowiem, tobie.

Podróżny.

Chwilkę jeszcze... przed takim niebem zachwycenia
Moc śmiertelnika się chwieje...

Ja wybrany? To słowo świat dla mnie przemienia!

Sama mi opowie?

Mów! Słucham... Duch mój, los mój, zawisł na
(twem słowie!

Muza.

Gdy młodzieńczy, hardy, śmiały,

Saturnową mocny klęską,

Zeus na tronie siadł zwycięzko,

I wychylił czarę chwały,

Spojrzał, nie na bohatera,

Nie na bogi, lecz boginie.

Brwi naciągnie, ręką skinie,

I wnet przybiegł syn Wenery.

Przybiegł, dał mu łuk i strzały;

Wstał król bogów z majestatu,

I w świat poszedł, hardy, śmiały,

Już nie gromem grozić światu,

Sercem tylko grozić klęską.

Z czary niepokonanemi,
 Wśród cór nieba, wśród cór ziemi,
 Pan Olimpu szedł zwyciężko.

Aż przybył do krainy mojej, zaświatowej,
 Gdzie milcząca, topiłam oczy nieskończenie
 W księdze, którą mi czytać dało Przeznaczenie,
 Pisaną na tle czarnem tęczowemi słowy.
 Czujna byłam, jak wszyscy którzy skarbu strzegą,
 Ja, muza, w sercu strzegłam ognia niebieskiego.

Zdumiony, że tam jasno bez gwiazd ani słońca,
 Zeus nie śmiał wtargnąć pierwszy, na zwiady szał
 (gońca.

Wleciał orzeł, mirt świeży przynosząc mi w dziobie.
 Ja, nie znająca jeszcze waszych godeł z ziemi,
 Wzięłam drobną gałązkę i roztargnionemi
 Rękoma między włosy zaplotłam ją sobie.

Wtedy, hardy i wspaniały,
 Stał przy mnie wódz niebianów,
 Stał w huku huraganów,
 Chciał mię olśnić słońcem chwały,
 Chciał piorunem zmódz.

Podróżny.

Zuchwały!...

Muza.

On w źrenicach nosił strzały,
 Czego inni nie dostrzegą,
 Skarb, dla niego był widomy;
 On miał tylko niebios gromy,
 A chciał ognia niebieskiego.

Ja ciekawie patrzyłam w nowe dla mnie dziwy;
 Jego obraz nasuwał złotych myśli nawał,
 Ale serce milczało. Zeus mi się wydawał,
 Nadto tryumfujący i nadto szczęśliwy.

Spojrzę w księgę, gdzie przyszłość jasną stoi wieścią,
 I w księdze czytam: „Grzmiące Zeusa panowanie,
 Krótkie będzie, jak burza;—nic się nie ostanie,
 Jeżeli nie zdobyło zasługi, boleścią”.

Chciałam go wypróbować—spojrzałam mu w lica:
 „Jeżeli, rzekłam, tak silnie serce cię nakłania,
 Kładę warunek jeden, lecz bez odwołania:
 Pójdź Zeusie i prosz o mnie mojego rodzica”.

Ha! uląkł się spotkania z cierpieniem!— Pan bogów,
 Zbladł. — On też nie chciał wpuścić w rozkoszne
 (podwoje,

Swego Olimpu!—Zadrzał o pioruny swoje!

Skinął na orła—odszedł—i wrócił się z progów.

Żądłem oczu mię przesywszy,
 Z drżeniem w głosie, rzekł ponury:
 „Pomnij, jeśli z bogów który
 Będzie ode mnie szczęśliwszy,
 (I ja wieszcz — zemstę ci wieszczę!)
 Poślę mu innego ptaka —
 Zemsta nad nim będzie taka,
 Jakięś świat nie widział jeszcze!”

Podróżny.

Ukój się muzo.... czemuż drogie słowa,
 Jakby rosa na róży, na twych ustach wiszą,
 A ja czekam jak żeglarz, przerażony ciszą?...

Muza.

Tak — tu na ustach zamięra mi mowa...
 Przychodzę do największej życia mego chwili,
 Muszę dotknąć najkrwawszej serca mego rany...

Był ród bogów najmłodszych — ci na ziemi żyli:

Tytany.

Ród lepszy od Olimpu, lecz nie znał sam siebie.
 Pod gromami pokorny i zapracowany,
 Nie czuł, że to on godzien zapanować w niebie.
 Ale był wśród nich jeden... najmilszy z postaci,
 Najwaleczniejszy sercem. On kochał tak braci,

Że pojął poniżenie ich martwego życia,
I przysiągł że wszystko straci,
Lub wróci im godność bogów.

Grom nieba już był w ręku Zeusa, w ręku wrogów.
Jeszcze niebieski ogień został do zdobycia.

Podróżny.

Prometeusz!

Muza.

On!—W wieczność poszedł niestrudzenie,
Poszedł szukać mię:—stał w mem zakłętym kole,
Nie jak ów Olimpijczyk z pychą i wszechmocą,
Lecz cichy i łagodny;—a nosił na czole;
Znak mi dotąd nieznany, znak smutku... zaćmienie...
Na jego widok oczy podniosłam od księgi,
I oczy mi raz pierwszy zaszyły ową nocą,
Co jaśniej od dnia gore. Zaznałam dreszcz trwogi...

Gdy mówił o braci losie,

Łzy miał w oczach, łzy miał w głosie....

Słyszysz, łzy? Większej potęgi

Nie posiadły żadne bogi!..

Jam sercu panowała lat i wieków tyle—
Lecz jakież siły serca przed łą się ustrzeżę?

Z ust mych uniósł w jedną chwilę

Iskrę ognia niebieskiego.

Podróżny.

Szczęśny — ha! nazbyt szczęśliwy...

Muza.

Kiedy z tą jedną iskrą powrócił do ziemi,
Ziemia się przemieniła.

Jak lew złotogrzywy

Ród Tytanów, zbudzony, strząsnął pył ze skroni,
Zrozumieli, że i oni
Są nieśmiertelnymi.

.....
Lecz on... Znasz jego losy — zna je ziemia cała,
Kiedy zatrzęsła się skała,

Kiedy zemsta w prawicy Zeusowej zagrzmiała,
Ja zbiegłam między Tytanidów plemię.
Poezja przysła z nieszczęściem na ziemię.

Tys mówił żem spokojna, żem łez nie zaznała?
Od widoku boleści jam jest skamieniała —
Ja wyplakałam już wszystkie łzy moje.

U skały poświęcenia, i w nocy i we dnie,
Pieśniami płaczę, pieśnią ból mu koję.

Czasem pieśń uspi ptaka co mu targa łono.
O! w takiej chwili, śpiewam przepowiednię
W księdze przeznaczeń skreśloną,
Piórem wyrwanem ze skrzydeł nadziei.

Muza.

Ach, czyż tylko do pieśni natchnienia potrzeba?
 Czy to sztuka, czy to wiara,
 Czyn, czy mądrość, czy ofiara,
 Wszystko woła ognia z nieba.

Idź, niech tylko twe życie będzie poematem,
 A muza pójdzie z tobą przez świat i za światem.

Podróżny.

Idę wyzwać wszystkie męki.
 Albo na tarczy zostanę,
 Albo wrócę, zwyciężcą, po wieniec z twój ręki.

Muza.

Ach! nie wyzywaj cierpień! Przyjdą niewołane,
 Przyjdą w liczbie co ciebie samego zadziwi.
 Im czuć będziesz szlachetniej, żyć będziesz cnotliwiej.
 Tem więcej gromów twe czoło ogarnie.
 O to chodzi jak cierpieć, mężnie czy nikczemnie.

Podróżny.

A przeszłość moja? Przeszłość? Minęłaż tak marnie?
 Wierz mi, znam się z nieszczęściem. W niejednej
 Jam już wieki przecierpiał. (godzinie,

Muza.

Któż lepiej ode mnie
 Zna tajnie twój przeszłości? Dla tego jedynie,
 Żeś i ty już miał swoje prometejską skałę,
 Muza ci się objawia. Taką wielką chwałę,
 Może tylko dać wielka....





S e n.

Musa si ego et poeta. Cuius verba dicuntur
Mors tylicae dicitur vocata.

Podróżny.

Miłość! O natchniona,

Tu na sercu rozkochanem
 Spocznij—pójdź w moje ramiona!
 I jam uczułem się Tytanem!

(Muza odrywa się od ziemi i zwołna pierzcha w powietrzu).

Muza.

Wstrzymaj się! Miłość muzy groźna, bo skrzydłata
 Im duch namiętniej ku niej się przybliży,
 Tem ona dalej odlata,
 Ale na to odlata, by pociągnąć wyżej.

Po spiętrzonych stopniach świata,
 Musisz łamać wszystkie bramy,
 Musisz zrywać wszystkie tamy,
 Z próby w próbę, z życia w życie!
 Gdzieś i kiedyś się spotkamy,
 Lecz to aż na niebios szczycie.

(Muza rozwięwa się w powietrzu. Podróżny, goniąc za jej lotem, staje między zwaliskami świątyni).

Podróżny.

Więc iść mi za nią! Między czarne losy,
 Nad gruzy świata, i nad szczęścia gruzy,
 Z ziemi do nieba, z niebiosów w niebiosy,
 Cierpieć i kochać, przez muzę, dla muzy.

(Chwilę patrzy w niebo—zstępuje z gór, wsiada w łódź i odpływa).

POŻEGNANIE.

Chcesz mię żegnać? Jeszcze chwilę...

W przeznaczeniu zwrotów tyle!

W ludzkiej mowie tyle słów!

Powiedz wszystko co masz w duszy,

Co rozrani i co wzruszy,

Co wiem i co nie wiem, mów!

Lecz niech słowo: Pożegnanie,

Wymówionem nie zostanie,

Bo gdzieś przy nas, tu czy tam,

Stoi zawsze moc ukryta,

Która nas za słowo chwyta,

I zwraca je przeciw nam.

Czy rozejdziem się na lata,

Czy pojedziem na kraj świata,

Po za przestrzeń, po za czas,

Rzucmy sobie: Do widzenia!

Słowo ludzkie wiele zmienia,

Może wcześniej zbliży nas?

Jeśli nawet czasem burza
Niebo zgody pozachmurza,
Serce zajdzie łzami z krwi,
Niech głos nigdy nie dopowie
Słowa: Żegnaj! bo w tem słowie
Urok, i zły urok tkwi.

Chmury serca są najłzawsze.
Lecz i wtedy zawsze, zawsze:
Do widzenia! powiem ci.
Niech znów tylko ujrzym siebie,
Chmury pierzchną w naszym niebie,
Miłość się miłością mści.

BARWA RÓŻOWA.

IMPROWIZACJA.

dnia 6 Października 1870 r.

Gdy odrzuciwszy nocny płaszcz żaloby,
Dzień chce zmartwychwstać na nowo,
Jutrzenka, ta młodość doby,
Wychodzi z szatą różową.

Tak młodość, jutrzienka życia,
Śląc w przyszłość skrzydlate gońce,
Różowe zrywa spowicia.
— Z niej Prawda wszędzie jak słońce.

Śpiewał słowik na drzewie, w trawach kwitła róża.
I pytał słowik róży: „Czemu jest różową?”
A róża rzekła to słowo:
„Bo gołąb' mi jest ojcem, a matką mi burza”.

Wiek dziecinny, wiek niewinny,
Nosi rąbek biały.

Wiek dojrzały, wiek wspaniały,
Wiek orkanów, w którym płoną,
Szały, gromy i zapaly,
Lśni suknią czerwoną.

Aż te dwie barwy, stopione,
Stworzą różową, wszystkich barw koronę.

Kto zdoła w jedno stopić ich zawilość,
Ten tajemnice zgadnie najzawilsze.
Weź to co najstraszniejsze, i to co najmilsze,
Z nich błysnie różowa Miłość.

A chociaż kwiaty zwiędną z wichrami w rozterce,
I dusza już po szczęściu pozostanie wdową,
Jeśliś zachował nieskalane serce,
— Ach! jeszcze w życiu będzie ci różowo.

S E N.

IMPROWIZACJA.

dnia 15 Października 1870 r.

Trzy siostry Parki, władczyńie ziemi,
W trzy nitki wiążą dni naszych len:
Tam śmierć,—tu życie; a między niemi,
Pół życia, pół śmierci: sen.

Świat to osobny, iskrzących ciemnic—
Własnych praw—dziwnych uciech i prób.—
Może pełniejszy jeszcze tajemnic,
Niżli kolebka i grób.

A przecież dusza, branka zwyczajaju,
Tak do tajemnych przywyka trwóg,
Że codzien, (codzien!) bywa w tym kraju,
I nawet nie pomni dróg!

Ach! bo pomiędzy dzienną pogodą,
A senną chmurą, jezioro jest.
Przeszłość je zwała Letejską wodą.
Śmierć daje w niem pierwszy chrzest.

Gdy dusza, ciasnem zmysłów okienkiem,
 Tak rwie się tęsknie w błękitną dal,
 Czemużby pieśnią, niby czółenkiem,
 Nie puścić się z wolą fal?

Ukołysana ruchem otchłani,
 Płyn duszo! W kraju złudzeń się budź!
 Pójdźcie wy wszyscy coście stroskani,
 Wsiadajmy w cudowną łódź.

Jeszcze nie Charon steruje w łodzi,
 Lecz jakiś geñjusz nieznanym. — Ach,
 Patrzcie: on z kształtu w kształty przechodzi...
 Patrzcie: pół-aniół, pół-strach!...

U brzegów ciche wiszą opoki,
 Słysząc pacierze, jak szelest drzew...
 Przed nami płynie łabędź wysoki,
 Zawodząc przedśmiertny śpiew.

Modremi mgłami mrzy okolica...
 I niby słońce wyjrzało znów,
 Lecz słońce inne... ma łyżki księżycy.
 Wpływamy w dolinę snów.

Po jednej stronie, jak raj wesola,
 Po drugiej, straszna, jak piekiel dno.
 Na brzegach gęsto kielkują zioła,
 I trzciny się z falą gną.

Sitowie życia, jeszcze tak nizko
 Wrosnięte w Letejską toń,
Związując prątki, niby kołyską
 Ocienia dziecięcą skroń.

I tych dzieciątek cała družyna,
 Jak Mojżesz wypływa z wód.
To cała ludzkość, snem rozpoczyna
 Życie, skazane na trud.

Nad kołyskami schylając głowę,
Matki śpiewają, co serce śni.
A sny latają, bezkolorowe,
 Sny białe dziecięcych dni.

Ach! śpijcie błogo, bo niedaleko,
Na drugim brzegu, na złomach skał,
Z grubo zasutą trudem powieką,
 Tłumy już legły jak wał.

Wszystko ubóstwo, krzepcy wieśniacy,
 Trzy czwarte ludzkości w śnie.
Choć śpią na skale, na twardej pracy,
 Swoboda z ich lica tchnie.

Lecz ich sny chodzą z zakrytą twarzą,
 Bez kształtów, światel, ni skaz.
Ci spracowani, choć śpią nie marzą;
 Odpoczywają jak głaz.

Widok jałowy dla oczów ducha.

— Spójrzjmy na pierwszy brzeg:
Co na nim świta? Co na nim grucha?

Ach łódko, powstrzymaj bieg!

Przy stopach góry, stoją zwałiska
Świątyni szczęścia. Zwałiska już!

A przecie szczyt ich, jeszcze połyska,
Jako drogowskaz wśród burz.

Tam przed ołtarzem, na którym świeci
Ideał boski, król snów i pan,

Wszystkie marzenia wszystkich stuleci
Zawodzą wiosenny tan.

Kibić wykwita z różanych rąbków;
Wawrzyn się wplata w promienny włos;

Z ramion tryskają skrzydła gołąbków;
Wzrok orli, słowiczy głos.

Rafaeliczny wdzięk w ich postawie,
Uścisk ich dłoni wiernością cny.

Sny takie nie raz chodzą na jawie;
Młodości! to twoje sny!

Ach, czemuż czólno tak prędko płynie?

Marzenia pierzchły... jak sen!
Mrok zewsząd pada... słyhać w dolinie

Zgrzyt zębów i wycia hjen.

Na drugim brzegu żuzłowe wzgórze,
 Jak obszarpany wulkanu zrab.
 W szczelinach kipi i świszczce burza...
 Szalony, kto spojrzy w głąb'!

Tam sny gorączki, tam sny choroby.
 Dziwadła ciągną ognisty wóz.
 Mary się wleką w kirach żałoby...
 Strach leci, siejący mróz.

Lunatyk płąsa nie ludzkim skokiem.
 Zmora, u czarnych milczenia drzwi,
 Jak lew przysiadłszy, śmiechem i wzrokiem,
 Ze swojej ofiary drwi.

Daléj jaskinia otwiera ku mnie
 Paszczę, ziejącą krwi świeżej woń..
 Tam sny zbrodniarzy biją się tłumnie.
 Ostatnia sumienia broń!

Uciekaj prędzej, łódeczko trwożna!..
 Ta baśń, straszniejsza jak życia treść.
 Nie raz na jawie przetrzymać można,
 Co we śnie się nie da znieść.

Wulkan mijamy.—Nad pierwszym brzegiem.
 Ciągną się pustki smętarnych pól;
 Wśród mogił, żywi legli szeregiem,
 Na twarzy ich zastygł ból.

Ach, to rodzice! ach, to siórotki!
 To dusze wdowie pomne na ślub!
 Każde z nich wzywa lubej istoty,
 Każde z nich w sercu ma grób.

Sen choć na chwilę ich uszczęśliwi.
 Wracają drodzy! To ona! On!
 Pełni uśmiechu, i tacy żywi,
 Że sam nie wierzysz w ich zgon!

Lecz ranek przyjdzie zwać te uśmiechy,
 I powie: „Znowu to wszystko trać!”
 Ach, lepiej nie znać senną pociechy,
 Jak chwilę zbudzenia znać!

A jednak, nie raz duch dla nas drogi,
 Z nieba nam we śnie przyniesie znak,
 Symbol nadziei, słowo przestrogi.
 Są sny od Boga; o, tak!

Jak nad Jakóblem, sen się rozpina
 W stopnie objawień.—Więc płynmy znów!
 Stopniami w niebo rośnie dolina,
 Tam stoją tłumacze snów.

Hierofant krąży słońcem powagi,
 Józef od sfinksów zdobywa klucz,
 Laseczkę cudów piastują Magi,
 Grom bije z Daniela ócz.

Kalchas przemówił, i w Grecji trwoga...
Bo on zna światy, tamten i ten!
Pytja, spojona czarem trójnoga,
Rządzi ludami, przez sen.

Wyżej, Sybille przed tron Wszechmocy
Rzucają wróżebny liść.
Ścieżką męczeństwa pną się prorocy,
Płacząc, że Duch każe iść!

Astrolog pisze w senniku dziwy,
Alfabet życiowych słów.
Cyganka, córka Indji sędziwej
Zgaduje serce... ze snów.

Wyżej, jak lilje ścięte na łące,
Jak białe ptaszę wyrwane z gniazd,
Rwą się nad ziemię jasnowidzące,
I chodzą od gwiazd do gwiazd.

A jeszcze wyżej, Święte i Święci,
Koronne głowy w królestwie cnót,
Krzyżem zachwyty w niebie rozpięci,
Wzdychają do rajskich wrót.

Na senne wizje rozwarli oko,
Anioł im biały podaje chleb.
Ach, tam już góra tak jest wysoka,
Że zdaje się tykać nieb!

Lecz co w koło nas?... Niknie dolina —

Ustaje żywiołów zbrat —

Tu góra nagle w bezdeń się ścina —

Czyżby tu kończył się świat?

Woda Letejska w otchłanie spada...

Stańmy... o nieba! tu śmierci próg!

Gdzieś w wieczność leci straszna kaskada —

A nad nią tęcza — i Bóg.

* * *

Łabędz poezji zaśpiewał tkliwiej,

I rzucił się w zamęt wód.

Zawróćmy łódkę, pókiśmy żywi!

Z łabędziem zniknął i cud!...

Pierzchły obrazy... nikt już nie powie,

Że tędy duchów przeciągnął chór.

Tylko u brzegu szumi sitowie,

I zioła wonieją z gór.

Wszystko to zioła usypiające;

Magiczna w nich kipi ciecz.

Makówki trzęsą główek tysiące,

Konopie grożą jak miecz.

Lecz między temi sennemi kwiaty,

Co widzę? Jak biała kiść,

Rośnie zwój kartek! To poematy

Puszczają zbyt długi liść.

Nic nie usypia, nic tak nie nurzy,
Jak równych rymów przedwieczny tren.
Więc i ja nie chcę śpiewać wam dłużej,
 By wszystkich nie zmorzył—sen.

BIAŁA RÓŻA

MAZUREK.

Śnieżnolica pół dziewica,
Mistycznym szelestem,
Róża biała mnie pytała:
„Powiedz czem ja jestem?
„Czy miłością? czy przyjaźnią?
„Gdy motyle, ku mnie
„Garnąc się, z wietrzykiem drażnią,
„Drzę—i milczę dumnie.
„Gdy się bluszcz do nóg mych ściele,
„Jestem posmutniałą....
„Dla mnie miłość, to za wiele:
„A przyjaźń, za mało.”

* * *
Rózo? ja ci powiem wszystko,
By cię pojąć, trzeba
Być kobietą i lutnistką.
Chcesz na ziemi, nieba!

Przyjaźń twoja, różą pała,
Jak przyjaźń kobiety,
Miłość twoja, wiecznie biała,
Jak miłość poety.
Czy ze sprzecznych tych żywiołów,
Szczęście ci się zbudzi?
Chcesz miłości u aniołów,
Przyjaźni u ludzi.
Tym czasem się ludzie boją
Twój surowej bieli.
A przed różanością twoją,
Pierzchają anieli.

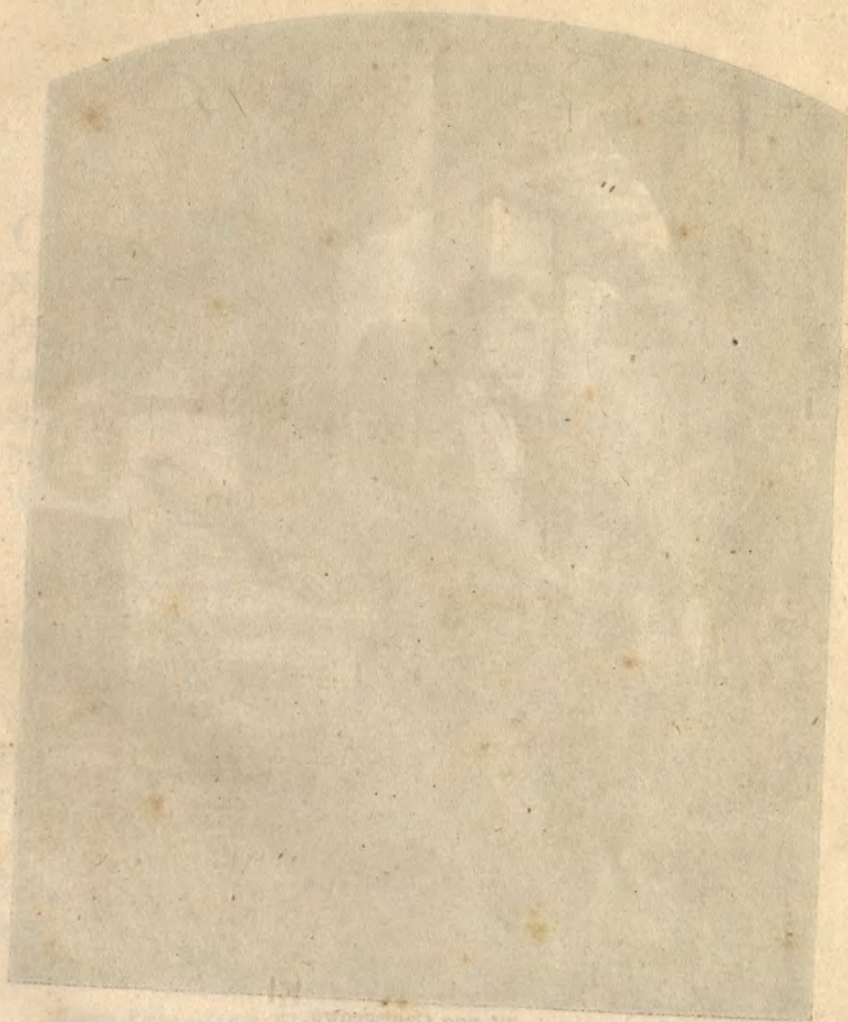
* * *

„Cóż chcesz? może wiara ludzi?”

Róża mi odpowie,

„Lecz ja wierzyć chcę, że z ludzi

„Będą aniołowie.”





W noc Czerweową.

JÉJ OCZY.

Ognie jutrzeńki blasków sypiące kaskadą,
Na niebie fijołkowym dwóch gwiazd klamra złota,
Promyczek, co Madonny twarz całuje śniadą,
Lampa wiodąca królów w Betlehemu wrota,
Słońce hymnem wesela witane po burzy,
Blask wiary w chore serca szczepiący nadzieję,
W mgłę mętnej jasny punkcik, biały ptak po—
(dróży—

To jój oczy, kiedy się śmieje.

Zachód, syn cieniów, słońcu ciskający wzgardę,
W starganej chmurze gromów i błyskawic zamęt,
Hieroglif Baltazara gnący króle harde,
Piorunu wąż: krew barwą, a świetnością djament,
Ostatni promień groźnej nad Kalwarją zorzy;
Źrenicom mrok kradnąca złotych skier ulewa,
Płomienna moc, co łamie, oślepia i trwoży—

To jój oczy, kiedy się gniewa.

Księga Pieśni—Zeszyt VI.

Ciepły brzask, słońca zwiastun po majowej
(nocy,

W eteru falach pierwsze wzbudzające drżenie;
Ciepły brzask, róż kochanek, płodnej pełen mocy,
Goniec dnia w hymenowe strojnego promienie;
Jasność ślepiąca Szawła, serc i ducha ranek,
Świt złoty, co po kwiatach, kwiatów władca, de-
(pcze,

Fijołki i płomień w jeden spięte wianek—

To jój oczy, gdy „kocham!” szepcze..

W NOC CZERWCOWĄ.

Do mojej celi, czarnej od mroku,
Księżyca promień zakradł się biały.
(Pewnie go kwiaty, co w oknie stały,
Na pocałunki zwiodyły z obłoku).

Po ścianach rozsunął hafty bogate,
Płowe od kurzu przejrzał obrazki,
Twarz mi osrebrzył, potem komnatę
W urok Faustowy ubrał i w blaski,

Rzadko przychodzi ten strażnik nieba
Śród murów ognie palić srebrzyste;
Zwierciadła wody kocha on szkliste,
Poezją strojnych miejsc mu potrzeba,

Gdzie zdrój się wije szarfą błękitną,
Gdzie jodły z szumem gną harde czoła,
Gdzie w klombach róże płomieniem kwitną.

I gdzie szkła kwitną w oknach kościoła.
Gdzie mgła z morskiego wstaje odmętu —
Tam on zawiesza swój sierp z djamentu.

Zkądże mu dzisiaj przychodzić do mnie?

Miłośnie gwarząc, w oknie mem stały
 Kwiaty pól naszych, przybrane skromnie.
 (Rwałem je rankiem, na łączce małej
 Za miastem). Był tam chaber niebieski,
 Lilja, perłowe konwalji łezki,
 Maki i modrych pęk niezabudek.
 Okno płonęło więc jak ogródek
 Na grzędach kwiatków pełen ubogich,
 Ale, w ubóstwie tem, sercu drogich
 Nad wyraz wszelki...

Bo choć w purpurze
 Uwielbiam kwiatów królową, różę,
 Choć, gdy mnie duszny zapach obwieje
 Mrącej śród tańca w gazy obłoku,
 Z żrenicą pełną łez ja się śmieję;
 Choć lubię wszystkie cieplarni kwiaty,
 Te dzieci zbytku w szacie bogatej,
 Co farb harmoniją wdzięczą się oku;
 Choć po królewsku nie skąpię serca
 I tym, co przyszły z za morza blade —
 Nad tłum ten przecie, pysznemi szaty
 Godny sułtanki śniadój kobierca,
 Czucia me wam są najchętniej rade,

Wam, dzieci słońca, piosnek i rosy,
 Zalotne w splotach dziewiczej kosi,
 Nocami śpiące, rozsmiane w ranki,
 Ciche, gdy ołtarz wami ubierą,
 Głośne, gdy wepną za gors kochanki,
 U narzeczonej w łzach uśmiechnięte,
 U dziecka z twarzą w uśmiechu szczerą,
 A u młodziuchnej żonki rozumne;
 Smutne, gdy wami obsypią trumnę,
 A gdy was sztuki nie tknął grzech — święte!

Z modrych, światłami tkanych przestrzeni,
 Wycie to, szepcząc, w komnatę lichą
 Marzeń przywiodły gwiazdę — i cicho
 Snów zeszedł anioł w szacie z promieni,
 I chórem dzwonić począł skrzydlaty
 Ptaków czy duchów tłum...

Drząc, klęczałem,
 Z roskoszy duchem senny i ciałem,
 A fala niosła śpiew, ogień, kwiaty...

Oczyrna duszy cuda widziałem:

Wioskę, co w wodzie stopami pluszcze,
 Dymu kolumny i ogień w chatach...

Altanę w srebrne odzianą bluszcze
I ją w altanie, śpiącą na kwiatach....

Ciemność przejrzystą, szepty i łkania,
Ciszę i w ciszy — pocałowania....

W szpalerach parku białe marmury,
Fontannę, drżące akacji liście,
Dwór, po nad dworem gołębi chmury,
I księżyc, z twarzą lśniącą ogniecie....

Ciszéj.... we dworze pianino śpiewa.

Otwartem oknem, przez mrok i ciszę,
Burzliwych tonów rwie się ulewa;
Pieśń jako raca, pęka i świeci,
Skrami na wodę sypiąc i drzewa,
Aż zgasła.... teraz liśćmi kołysze
Melodja słodka, jak szczebiot dzieci,
Jak o południu brzęk rzeszy pszczolnej,
Jak paciérz, kiedy do Boga leci,
Jak dészcz na wiosnę. Znów wiatr swawolny
Porwał ją — skłócił. W taneczne koła
Splątana, śmiechem ciska i wrzawą,
W moc rośnie, szału! tonami woła,
I mdleje, chmurą zakryta krwawą....

To Szopen! nerwów śpiewak i serca;
 A ta pieśń wrząca, co krzepnie lawą,
 To brylantowy dészcz jego *Scherza*.

Widziałem potem lasu gąszcz ciemną.
 Drzewa pokłony były przede mną,
 Niby wzruszony wichrem tłum kłósów.
 I myśl mnie tknęła dziwna (przez czary
 Chochlików pewnie), że las kościołem
 Jest, a brzóz białe pnie, to filary;
 Że jodły pełne tajemnych głosów,
 To ofiarnicy, a z drżącym czołem
 Osina — trwożne narodu fale;
 Że pełzające po krzewach pary,
 To dym kadzidła, a chór słowików,
 To głos organu podczas ofiary...
 I tu mych widzeń kres był.

Komnatę.

I kwiatów polnych pęk i obrazki,
 Noc zaléwała — było w niej parno
 I głucho — ale źrenice w blaski,
 A myśli w rokosz miałem bogate;
 Więc mi nie brakło na noc tę czarną
 Światła i gwaru. Ugiąwszy czoła,

Słowa modlitwy mówiłem święte
Głośno — choć usta miałem zamknięte.

W noc tę jam Ciebie sercem czcił, Boże!
I kiedy ziemi hymn brzmiał dokoła,
Mówiłem szczęścia pacierz, w pokorze
Mysząc: Wszechmocny! służą Twym jestem...

Panie! Twój anioł przyszedł z szelestem
Łabędzich skrzydeł i lichą cełę
W raj zmienił. Świateł wzniosł w nią potoki,
Zapachu tuman, gwar i wesele...

Panie! Tyś w gwiazdy ubrał obłoki,
Aniołów w skrzydła, a w zapach róże;
Ty głuszy leśnej dałeś słowika,
Przepaściom orła, a orłom burzę;
Słońce, gdy gasnąc drzwi dnia zamyka,
Twą wolę pełniąc, gaśnie w purpurze;
Maj się kwiatami pyszni, a kwiaty
Motylów rzeszą; noc ma sny złote,
Jutrzenka paciérz; zdroj ciche łkania,
Boleść nadzieję, co upaść wzbrania;
Bór paproć, dziewczę śmiech i pieśczętę,
A ludzkość — Ciebie....

Przed Twem obliczem

Panie! ja, sługa Twój, jestem niczem,
A przecie dłoni Twych dar wspaniały
I mnie cichego znalazł na boku....

Dar ten, to władza w duszy méj wzroku
Dziwna, że mogę raj widzieć cały
W mojej komnatce czarnéj od mroku,
Gdy w nią księżycy snop wejdzie biały.

SWATY.

Snuj się marzeń pajęczyno!
Cyt! — już warczą złote motki...

Oto lecą, oto płyną
Do méj lubéj, do pieszczotki,
Po nad szczyty, po nad głębie,
W oświadczyńy, dwa gołębie.

Nieścignione w chyżym biegu,
Porą wichry, krają fale,
I rycersko i zuchwale,
W złocie słońca, w srebrze śniegu,
Błyskawicom patrząc w oczy,
Drwiąc z lawiny, choć się toczy,
Szydząc z gromów, choć się świecą,
Posły serca, myśli ptaki,
Ach! odważne, ach! junaki!
Płyną, płyną.... lecą, lecą....

Z chmur girlandy błysnął ranek,
 Mgły różowej wstały zwoje;
 Na rzeźbiony wyszła ganek
 Moja luba, słońce moje;
 Czesze włosy, wije wianek,
 Wije maki i powoje;
 Wiatr pomiata czarną kosą,
 A piosenkę echa niosą....

Dzwoni strumień, pachną kwiaty,
 — Kto też dzisiaj przysła swaty?....
 Gór nie widać za mgłą siną,
 — Czy ubogi? czy bogaty?

Snuj się, marzeń pajęczyno!
 Chyźej, chyźej! białe swaty!
 — Od lirnika.... czy być może?
 Od lirnika.... ach, mój Boże!...
 Przystanąła; patrzy, słucha —
 Biały ptaszek rzecz swą grucha,
 Grucha słodko i miłośnie,
 Aż w dziewczynie serce rośnie....

— Leć, mój ptaku, biały družbo,
 Do lirnika z dobrą wróżbą....
 Leć, mój ptaku, leć mój swacie!...

— Śliczna pani! a czy znacie
Dwór lirnika, jego skarby?

— Nie znam, ptaszku....

— Jakie farby

Bierze zachód, kiedy kona,
Jak się pali gwiazd korona,
A o zmroku gasną zorze;
Jak się pianą srebrzy morze,
W stawie pływa księżyc blady,
Po przepaściach grzmia kaskady,
A z gór strzela złota ruda;
Jak przy gromów krwawym błysku....

— Ptaku, dość już! — gdzież te cuda?

— W orlem gnieździe, na urwisku...

— Na urwisku?....

— Ludzkie oko

Tam nie sięga!

— Tak wysoko?...

— Z krzykiem, orłów krążą roje....

— Ptaku! ptaku! ja się boję....

.

Od méj lubéj, od pieszczotki,
Dwa gołębie lecą, płyną...

Opadnijcie, złote motki,
Rwij się, marzeń pajęczyno!

PRZĄDKA.

Łuna bije od ogniska,
Pieją pieśni, bają baśnie,
Złoty płomień skrami ciska,
W górę strzeli, to przygaśnie....

Raźne dziewczki, istne kwiaty,
Na dębowej siedzą ławie,
Oczy mają jak granaty,
Rzęsy—niby piórka pawie.

Z gwarliwego ich orszaku
Błyska jedna, jako zorza,
Rzekłbyś: krasny kielich maku
Z pozłacanej fali zboża.

Białe liczko, czarne brewki,
Przed nią warczy kołowrotek,
W dłoni przędzy cienkiej motek,
W ustach nuta dziwnej śpiewki...

Jak po kwiatach leśna struga,
Brylantowo pieśń ta płynie;
Jak bór szumna, a tak długa,
Że aż braknie tchu dziewczynie....

W niej wioskowe słyhać dzwony,
I fujarki głos pieszczony,
Muszek chórał słyhać cienki,
Płacz jałoszki i kos brzęki....

Czuć w niej zapach polnych kwiatków:
Macierzanki i bławatków,
Dzwonią ptaki, jak w ogródku,
Czuć w niej łzawe echo smutku....

Prządka śpiéwa, a w świetlicy
Cicho, jakby posiał makiem.
Sztuki gieńjusz złotym szlakiem,
W pierś zestąpił—wyrobnicy.

Za okienkiem wicher się tarza,
Stuka w szybki, śniegiem grzmoce;
Ona śpiéwa, nie uważa,
W niej nadziemskie goszczą moce....

Śpiéwaj! śpiéwaj! niech się korzą
Przed natchnioném dzieckiem cudu;
W tobie iskrę zatlił bożą,
Gieńjusz sztuki, gieńjusz ludu....

Do obłoków duch cię niesie,
Świat ci szkołą, a Bóg mistrzem,
Więc też źródłem pieśń twa rwie się
Najpiękniejszem, bo najczystschem....

Śpiewaj prządko, boże dziecię!
Śpiewaj prządko, boży ptaku!
Po cierniowym braci szlaku,
Rzucaj piosnek białe kwiecie.

Błądźni w życiu tem wędrowce,
Oni idą przez manowce,
Więc twój geńjusz niech im wskaże,
Gdzie Bóg prawdy ma ołtarze.

Ubożuchna teraz w świecie
Błyśniesz kiedyś na zodiaku....
Śpiewaj prządko, boże dziecię!
Śpiewaj prządko, boży ptaku!

Z DZIEJÓW DNIA I MIŁOŚCI.

I.

Gdy słucham, w niebo twych oczu wpatrzony,
Różowych ustek słodkiego gwarzenia,
Gdy głos twój cichy, szepejący, pieszczony,
W piersiach rokoszne obudza mi drżenia;
Gdy się nad nami chwieją bluszczu sploty,
I w kształt kopuły dzikie pnie się wino,
Przez liście spada deszcz słoneczny, złoty,
I od ogrodu ciepłe fale płyną;
Gdy, ciszę budząc brzękiem szklanych skrzydeł,
Pszczółka nektary z lilji ssie kielicha
A zefir, niosąc mgłę kwiatnych kadzideł,
Lubieżnie, w trawie przyczajony, wzdycha—
Wtenczas, choć zmysły pragnień żar mi pali,
W południa ogniach ja się siebie lękam,
Nie śmiem całunku zerwać z ust koralu,
I jak niewolnik przed królową—klękam.

VI*

II.

Lecz kiedy w fałdach różowej kotary
Zasypia słońce, a gwiazdzistym szlakiem
Noc spływa, namiot rozpinając szary,
I ziemię pojąc sny rodzącym makiem;
Kiedy z omdlenia budzą się powoje,
Duszącą wonią jaśmin tchnie do koła,
Świetlistych czerwców zwijają się roje,
I lipy chylą okwiecone czola;
Gdy przez kopułę bluszczowej altany,
Blaski wpadają ciekawe a śmiałe,
Bryzgami srebrnej osypując piany
Piers twą odkrytą i ramiona białe —
Wtenczas zuchwały, oczu twych promienie
Namiętnie piję spragnioną źrenicą,
Całuję usta i włosów pierścienie,
Wtenczas ja królem, a ty—niewolnicą.,

CHCIAŁBYM...

Chciałbym choć raz, choć raz, przy wiosła ci
(chym szmerze
Senny od kwiecica tchnień, w weneckiej płynąc
(łodzi,
Gdy fala drży i lka, w powietrzu rokosz cho-
(dzi,
Gdy stadem chmury mkną, jak mew srebrzyste
(pierze;

Gdy blade sierp księżycy
Nad modrą tkwi topielą,
Tumanem mgły się ścielą,
Rybaków płynie śpiew...
Gdy z dziewic ślubną bielą
Na roziskrzzone lica
Miasto-oblubienica
Przejrzysty bierze kwef...

Chciałbym choć raz, choć raz, pijany laurów
 (szumem
 W Alhambry wszedłszy mrok, o znikłej dumać
 (chwale:
 Jak zwolna, ale wciąż, wypadków biegną fale,
 Jak biegnie życia prąd, z tęczyowych widzeń tłu-
 (mem....

A gdy pod wzruszeń mocą
 Drżałyby róż kielichy,
 I fontan szelest cichy
 Z fijołków płynął tchem—
 Od zwątpień i od pychy
 Zwolniejszy myśl siérocą,
 Chciałbym tak, letnią nocą,
 Zasnąć—umarłych snem....

Chciałbym choć raz, choć raz, zmieniwszy marzeń
 (scenę,
 W mistyczną czarów noc, pozdrawiać pieśni sło-
 (wem
 Grenadę, w płaszczu rzeźb, na niebie szafirowem,
 I wzwójach srebrnej mgły, Wenecji gród-syrenę...
 Płynąc, gdy miasto ciska
 Obłokom gwar i śmiechy,
 Cyprysów pić oddechy,
 Gdy w rosie cały las...

Z pod szarój wlecieć strzechy
Na strome skał urwiska,
I niebo widzieć zblizka
Chciałbym choć raz, choć raz!

WE DWOJE.

I.

Milcząc, nad strugą siedzimy błękitną.
W koło gaj szumi i czeremchy kwitną,
Przez liście słońca wdziera się ulewa.

Muskając warkocz od jedwabiu gładszy,
W lusterko wody biała brzoza patrzy,
Na brzozie usiadł słowiczek i śpiewa.

Po mchu zielonym leśne pełzną bluszcze,
Woda kamykom coś gada, i pluszcze,
W pluszczącej niebo dwoi się i drzewa.

II.

W sukience jesteś, jak struga, niebieskiój,
Z szyi perełek spływają ci łezki,
W twarzy masz niebo, a we włosach różę.

Motyle krążą przy ust twych koralu,
A twoje oczy skrzące, jak z opalu,
Za chmur girlandą pobiegły ku górze.

Udajesz świętą — ale twarz ci zwolna
W różowe ognie myśl stroi swawolna,
I z nieba schodzą twoje oczy duże....

III.

Chmurki nad nami żeglują cichutko.
Do warg mych tulę twą rączkę malutką,
Twą aksamitną rączkę od pieśczęoty.

Za srebrem fali, to za chmurek wełną
Wzrok mój się wiesza, pierś mam nieba pełną,
A ciebie widzę w aureoli złotój.

Myślę, żeś Zosią z Sopliców ogrodu,
Fijołkiem żywym, albo perłą wschodu —
I inne z tobą myśl ma robi psoty....

IV.

Za wody falą szumi fala żyta.
Modrym płomykiem chaber z niej wykwita,
Wiatr gniew kłosami, więc jak szklane dzwonią.

Wróble na dzikięj świergotają gruszy,
 Parno, koników polnych chrzęst aż głuszy,
 Snują się pszczoły i motyle gonią.

Na kryształowej jeziora topieli
 Kąpie się rybka o tęczowej skrzeli,
 „Schwytaj ją!” — mówisz, pokazując dłonią.

V.

Nagle, zaczynasz śpiewać. Śpiew twój cichy,
 Potrąca liście, i kwiatów kielichy,
 Śpiewasz piosenkę smutną „o Kalinie”.

Biédna! w ukryciu rosła nad potokiem,
 Jaś na fujarce wygrywał jój zmrokiem;
 Aż przyszła jesień.... Śpiew twój łzami płynie;

Jak paciérz płaczki zawodzi i biada,
 Ścichnął — a echo jeszcze opowiada,
 Jasiénka losy kwiatom i gęstwinie.

VI.

Słońce w zdrój wpadło, i patrzy przez fałę,
 Jak płomień w modrym zamknięty kryształ; —
 Cicho — wiatr umilkł — drzewa bez tchu stoją....

„Spójrz, o luba! — szepczę ci, krwią wrzące,
 Po strudze pływa strugi serce: słońce,
 Bóg i niebios a w tem sercu się dwoją;

Wzrokiem na fali, duszą jesteś w niebie,
 Lecz znika eden, po słońca pogrzebie,
 Gdy struga czarna nakryje się zbroją...

VII.

„Chochlików wtenczas schodzą korowody,
 Nymfei kielich wypływa z pod wody,
 Skarżą się kwiaty, ziemia przez sen gada...

Za siecią krzewówienne zorze gasną,
 Hukają sowy i twarzą niejasną,
 Przez olch gałęzie pełnia patrzy blada;

Znikają farby kwietnego koberca,
 Struga śpi martwo, bo strudze brak serca,
 Złotego serca, co z chmur na nią spada”...

VIII.

Zamilkłem. Ptaszę na gałązce gwarzy,
 Słów moich łuna migocze ci w twarzy;
 Woda kamykom coś szepcze i pluska.

„Zgadłam, mój panie, co znaczy ta powieść:
 Żem ja twem słońcem chciałeś przez nią dowieść”...
 Śmiejesz się, zefir pierś twą białą muska.

Znagła cię czuje całą w błyskawicach,
 U warg mych wrzących, przy piersi, na licach....
 Gaj szumi, w strudze słoneczna drga łuska....

VII

VIII

I tłum płynie, zabawą i szalem pijany,
 A z tłumy, niby z ula, wybiegają wrzaski
 I w grzmot rosną huczący...

Pół-naga rozpusta

Z zatrutą czarą wina w śnieżno-białej dłoni
 Pośród tłumy się zjawia—i tłum topi usta
 W truciznie—i liść winny płacze koło skroni,
 Krzycząc: Boże roskoszy! myśmy twoje dzieci....

.....
 A pieśń szału wciąż płynie,
 Piorunami w krąg ciska,
 Ogniem skrzy się i błyska,
 W piekło zda się poleci
 I zginie....

Jak wąż ranny się kłębi,
 Żądłem syczy, po ziemi
 Pełza sploty drżącemi,
 I wzrok krwawy zapuszcza
 Do głębi...

Potem w orła zmieniona
 Lotne skrzydła rozwija,
 Pod obłoki się wzbija,
 Chce pochwycić świat cały
 W ramiona...

Znów, jak pereł kaskada
Skier miliony roztrąca—
Wreszcie słabnie, i mrąca
W ciemnej światów czeluści
Przepada...

Potem, w altance cichój, kędy przez powoje
 Noc wglądała, wśród kwiatów, gwarzyliśmy senni:
 Dzieci para, przed świata prawem zbiegów dwoje;
 I było w krąg nas coraz i coraz promienniej,
 Blask zaléwał altanę i kanapkę z darni—
 Choć na niebie bez światel było coraz czarniej...

Pamiętasz? później znowu, wzięwszy się za ręce
 Senni, bo nas całunków upoiło wino,
 Słiśmy rokosz swą świętej powiedzieć Panience...
 Chwilę tę widzę: oknem fale słońca płyną,
 Z po za lampki Madonna mówi: „błogosławie”
 Śpiewa ptak, paciérz szepczą cheruby z kamie-
 (nia....

Chwilę tę widzę: para marzących na jawie,
 Przed ołtarzem ze łzami łączy uściśnienia,
 I niepomna, że człowiek naczyniem jest kruchem,
 Dwa życia wiąże przysięg palących łańcuchem....

.

Luba! na głowy nasze spadł grom. Świat się gro-
 (mem

Pomścił swych praw starganych, i gdy wszczęcia
 (niebie,

Usnęliśmy, z wejrzeniem przyszedł krwi łakomem,
 Grożąc, z praw księgą, wielki, jak Bóg na Horebie..

Dzień był czarny, gdy miłość z dwojga serc wy-
(darto!

Pamiętasz? tys łzy w oczach miała, ja pioruny....
Łzy i pioruny niczem przed praw ludzkich kartą
Świątą, bo ją w ogniste sam Bóg kręślił runy.

Luba! świat nas z zachwytu mocnym zbudził gło-
(sem,

Więc przysiąg złoty łańcuch pękł pod nagłym
(ciosem....



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68

PROSPEKT KSIĘGI PIĘŚNI.

Pod tym tytułem zamierzam wydawać *Zbiór poezyi różnych autorów* w poszytach.

W dziele tem drukowanemi będą tak większe poematy, jak i drobne poezye: Deotymy, W. Szymanowskiego, Maryi Ilnickiej, Chęcińskiego, Al. Kraushaara, El.....y — J. Stożka, Michała Bałuckiego, Seweryna Goszczyńskiego, Felicjana, Gomulickiego i innych.

Księga Pięśni wydawana będzie pod redakcją Mirona w dwojakię edycyi:

Pierwsza w formacie 8-mki większej na welinie, przyozdobiona będzie ilustracjami: Gersona, Kostrzewskiego, Pillatego, Tegazego i innych.

Druga edycja w formacie 8-mki na papierze białym bez ozdób.

Każdy poszyt obejmować będzie arkusz druku z 32-ch stron, — odbity wyraźnemi i ozdobnemi czcionkami.

W ogóle tak redakcja, jak wydawca starać się będą, aby dzieło to odpowiedziało swojemu założeniu.

Warunki przedpłaty.

Wydanie ilustrowane na welinie; w Warszawie przy 1-ym poszycie kop. 60, przy następnych kop. 30, ósmy dodaje się bezpłatnie. Oddzielnie zaś poszyt sprzedawać się będzie po kop. 40.

Z gubernii zaś i Cesarstwa osoby nadsyłające całkowitą przedpłatę pod adresem niżej wymienionego, w kwocie Rs. 3½, lub częściowo: przy 1-ym poszycie Rs. 2, przy 4-ym zeszytcie Rs. 2, — dzieło to w poszytach, zaraz po wyjściu, pod opaską wysyłane mieć będą.

Wydanie bez rycin: w Warszawie przy 1-ym zeszytcie płaci się kop. 30, przy następnych kop. 15, ósmy dodaje się bezpłatnie. Oddzielny zeszyt kop. 20. Z gubernii i Cesarstwa osobom nadsyłającym przedpłatę po 75 kop. przy 1-ym i 4-ym poszycie, dzieło to pod opaską wysyłane zostanie.

Prenumerować i nabywać zeszytami można we wszystkich znanych księgarskich księgarniach.

Przedpłaty na pomienione wydawnictwo adresować należy do Wydawcy **Józefa Kaufmana**, Krakowskie-Przedmieście Nr. 443 (nowy 71).

Pierwszy zeszyt wyszedł, drugi i następny opuszczą wkrótce prasę.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 22 Октября 1870 года.

w drukarni Jana Jaworskiego, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

F

10214